Kurjer literacko naukowy

ROK IV. WYCHODZI W NIEDZIELĘ JAKO BEZPŁATNY DODATEK NR. 33

Kiedy powstały kościoły krakowskie

Piękne i liczne kościoły krakowskie stanowią bezsprzecznie jedną z największych ozdób miasta. Kraków posiada ich dzisiaj pięćdziesiąt sześć. Były czasy kiedy Kraków liczył kościołów znacznie więcej, stąd zasłużył sobie na miano polskiego Rzymu. Tak wielka liczba kościołów, istniejących od szeregu wieków, budzi u wielu zwiedzających Kraków zdziwienie, tembardziej, że miasto w czasach największej świetności, nigdy, przed laty stu, dwustu, czy trzystu, nie liczyło, jak dzisiaj, dwustu tysięcy mieszkańców. Pamiętać jednak należy, że przyczyną dla której powstało tyle świątyń w Krakowie była nietylko pobożność i bogactwo jego mieszkańców, ale również współzawodnictwo możnych rodów, które przez budowanie kościołów i klasztorów, bogate ich wyposażenie, starały się nawzajem przewyższać i uzyskać tą drogą jaknajwiększy rozgłos i sławę.

W roku 1650 wydał drukarz krakowski Franciszek Cezary książkę pod tytułem „Klejnoty Krakowa, albo kościoły i co w nich jest widzenia godnego i znacznego, krótko opisane...". Autor książki, uczeń krakowskiej Akademji, Hijacynt Pruszcz, naliczył wówczas sześćdziesiąt pięć kościołów i więszych kaplic, na terenie ówczesnego Krakowa i jego przedmieść, a więc o dziewięć więcej niż dzisiaj.

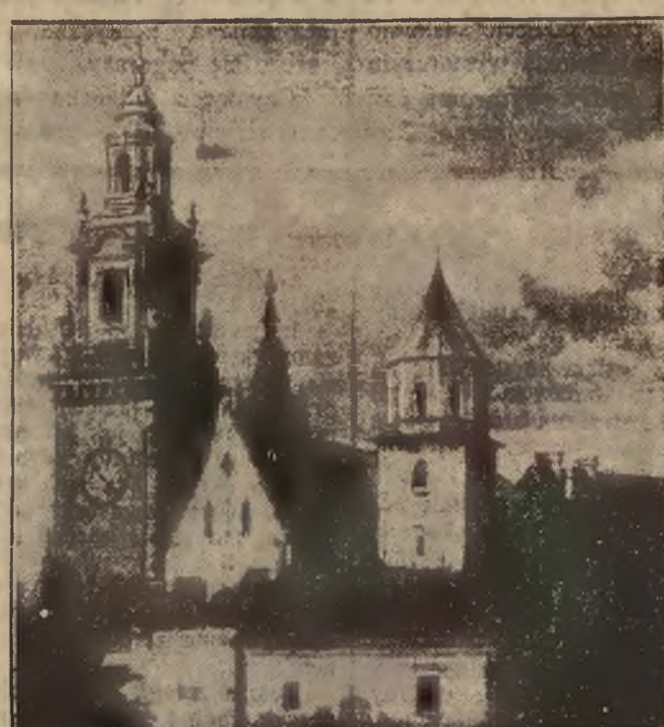
* * *

Ogromna większość świątyń krakowskich sięga swemi początkami czasów bardzo odległych. Miano najstarszego kościółka krakowskiego, niełatwo stwierdzić czy słusznie, dają niektórzy nieistniejącemu już dzisiaj kościółkowi św. Krzyża, zwanemu „słowiańskim". Stał on jeszcze do połowy ub. stulecia u zbiegu ulic Pędzichów i Długiej i miał być zbudowany przez chrześcijan z Moraw, którzy schronili się pod Kraków, do pogańskich wówczas Słowian, przed prześladowaniem Madziarów i tutaj uzyskali pozwolenie na wzniesienie świątyni, przed bramami starego miasta.

Inni za najstarszy kościół nietylko krakowski, ale wogóle polski, uważają odkrytą zupełnie przypadkowo w roku 1917 w podziemiach wawelskiego zamku świątynię św. Feliksa i Adaukta. Ma ona jak wiadomo kształt rotundy. Postawiono hipotezę, że rotunda wzniesiona została w wieku dziewiątym, dziesiątym, względnie najpóźniej w jedenastym.

Z rotundą św. Feliksa i Adaukta rywalizują co do czasu powstania dochowane do dziś dnia ślady najstarszej katedry krakowskiej św. Gereona znajdujące się na wzgórzu wawelskiem poza prezbiterjum obecnej katedry, oraz kościoły św. Mikołaja na Wesołej, św. Wojciecha w Rynku głównym. Dokładnych dat powstania tych świątyń podać niepodobna. Są one z pewnością nieco późniejsze od wymienionych poprzednio, niemniej jednak giną w pomroce dziejowej XI, a może wcześniejszych stuleci.

Z XII wiekiem związane jest powstanie krakowskich kościołów św. Florjana przy placu Matejki, SS. Norbertanek na Zwierzyńcu, św. Andrzeja przy ul. Grodzkiej, oraz trzech świątyń na których gruzach postawiono w wiekach późniejszych nowe. Są to kościoły na Skałce, pod wezwaniem św. Michała i św. Stanisława, kościół św. Anny i kościół św. Jana. Ten sam los



Katedra na Wawelu

spotkał również kościół św. Florjana. Nosząca dzisiaj to wezwanie świątynia uległa trzykrotnemu przebudowaniu, skutkiem czego zamiast gotyku widzimy dzisiaj na jego miejscu barok.

Stulecie XIII zapisało się w tej dziedzinie powstaniem wspaniałej świątyni marjackiej, a dalej kościołów św. Krzyża, św. Marka i kościoła OO. Franciszkanów.

* * *

Wiek następny, który zapoczątkował okres potęgi i świetności miasta pozostawił nam piękne kościoły OO. Dominikanów, św. Katarzyny i Bożego Ciała na Kaźmierzu, OO. Karmelitów na Piasku, św. Barbary i św. Idziego u stóp Wawelu. Z tego wieku pochodzi również katedra Wawelska, w tej szacie w jakiej podziwiamy ją dzisiaj. Miała ona bowiem dwie poprzedniczki, gotycką i romańską. Na ślady ich natrafiono bez trudu.

W następnych dwóch stuleciach XV i XVI nasilenie w dziedzinie budowy nowych świątyń w Krakowie osłabło. W roku 1455 powstał u stóp Wawelu kościół OO. Bernardynów, na Kaźmierzu zbudowano kościół św. Agnieszki. Gruntownej przebudowie uległ wówczas, na starych zresztą fundamentach, kościół na Skałce, z którym wielu łączy czasy pierwszego biskupstwa późniejszej stolicy Jagiellonów. Wreszcie w tem stuleciu Jan Żukowski wzniósł na swych gruntach barokowy kościółek Bożego Miłosierdzia, nie przypuszczając oczywiście, że znajdzie się on w przyszłości w pośrodku ulicy Smoleńskiej.

Na pierwsze miejsce wśród świątyń zbudowanych w następnem stuleciu XVII i zachowanych do dnia dzisiejszego, wybija się barokowy kościół św. św. Piotra i Pawła, z piękną dwupiętrową fasadą kamienną. Wprawdzie datą rozpoczęcia budowy kościoła OO. Karmelitów na Piasku jest rok 1397, a więc początkami swemi należy on do wieku XIV, gotycka świątynia z tego czasu spłonęła jednak w czasie szwedzkiego najazdu, ustępując miejsca barokowej z roku 1679.

Oprócz dwóch wymienionych w stuleciu XVII wzniesiono jeszcze dziewięć świątyń. Do nich należą kościoły św. Tomasza (r. 1618), Na Gródku PP. Dominikanek (r. 1621), św. Łazarza przy ul. Kopernika (r. 1634), św. Józefa przy ul. Poselskiej (r. 1644), OO. Reformatów (r. 1662), św. Salwatora na Zwierzyńcu (r. 1673), św. Małgorzaty na Zwierzyńcu (r. 1690), św. Norberta obecnie grecko - katolicki przy ul. Wiślnej i kościół SS. Wizytek przy ul. Krowoderskiej (1698 r.). Kościół św. Małgorzaty wybudowany w tem stuleciu jest jedynym zachowanym do tej pory kościółkiem drewnianym w Krakowie. Wznosi się on na zboczach wzgórza św. Bronisławy na Zwierzyńcu. W wieku XVII, jak widzimy Kraków budował regularnie, niemal co dziesięć lat kościół.

* * *

Ogólne zubożenie mieszkańców miasta, upadek ducha religijnego, rozterki polityczne w które popadła Polska w wieku XVIII, odbiły się również w dziedzinie budownictwa kościelnego. W r. 1703 wzniesiono wprawdzie na miejscu dwóch dawnych świątyń, które kolejno zniszczył ząb czasu, nowy kościół św. Anny, dając mu piękną, czysto barokową dekorację wnętrza nieskażoną żadną niemal naleciałością. Przy ul. Kopernika wzniesiono wprawdzie w r. 1725, podobno na gruzach zboru arjańskiego, kościół św. Teresy SS. Karmelitanek, a w latach 1719 do 1732 przeprowadzono na Stradomiu budowę kościoła pod wezwaniem Nawrócenia św. Pawła, przy którym osiedli ks. ks. Misjonarze sprowadzeni z Paryża przez królowę Marysieńkę. Wreszcie Kraków zdobył się wówczas na jedną jeszcze świątynię, wzniesioną przez architekta Franciszka Placidi. Jest to późno - barokowy kościół OO. Pijarów, zwracający uwagę oryginalną fasadą. Łącznie więc w ubogiem stuleciu rozbiorów Polski Kraków wystawił trzy kościoły jeden zaś przebudował.

Reszta kościołów krakowskich należy do budowli niemal ostatnich czasów. Po wielkiej wojnie w dziedzinie budownictwa kościelnego, mimo ciężkiej sytuacji finansowej widać naogół ożywienie. Kilka świątyń poddanych zostało pracom restauracyjnym, a w tej chwili jest w budowie wielki kościół parafjalny w dzielnicy Dębniki. *ak.*



Fragment kaplicy Zygmuntowskiej

Polska i Gdańsk

Znany publicysta francuski Raymond Recouly ogłasza w tygodniku „Gringoire" serję reportaży o Polsce. Ostatni z nich zawierał interesujący i objektywny pogląd na sprawę gdańską. Zamieszczamy go w dosłownem tłumaczeniu, jako oświetlenie aktualnej kwestji przez cudzoziemca.

Traktat wersalski, który położył kres wielkiej wojnie, był dziełem niezmiernie trudnem i skomplikowanem. Pewną ilość błędów czy niedopatrzeń, należy w tej sytuacji uważać za rzecz zrozumiałą, a nawet dozwoloną. Gorzej, że podpisujący go politycy doprawdy nadużyli tej licencji. Ich rozstrzygnięcie w sprawie Gdańska zaliczyć trzeba do najgrubszych błędów, do najjaskrawszych niedorzeczności.

To tak zwane wolne miasto, z niewielkiem, otaczającem go terytorjum, tworzące enklawę w prowincji, która powróciła do Polski, jest wymysłem Lloyd'a George'a, jednego z najpotężniejszych, a zarazem najmniej odpowiedzialnych fabrykantów traktatu.

Z punktu widzenia ekonomicznego, politycznego i dyplomatycznego jest ta koncepcja prawdziwym absurdem.

Przyszłość, egzystencja, a nawet wyżywienie Gdańska zależą całkowicie od Polski, która gdyby chciała, mogłaby uniemożliwić mu istnienie. Polska jest w mocy zduszenia, ogłodzenia tego miasta.

Błąd ten stał się od samego początku źródłem waśni, incydentów i kłótni pomiędzy Polską a Gdańskiem i stojącemi za nim Niemcami. Zaledwie jeden spór zażegnano, gdy już wyrastały nowe trudności. — Jeżeli nie doszło do wojny, to tylko dzięki następującym okolicznościom: raz, że Polacy — okazawszy tyleż dobrej woli co stanowczości — potrafili zachować zimną krew w każdej sytuacji, z drugiej zaś strony Niemcy — zresztą zaprzątnięte inną sprawą — nie zdążyły jeszcze powrócić do pełni sił. Ale kwestja Gdańska dostarczyłaby „casus belli" tuzinami.

Lloyd George, który nie lubił, a nawet — możnaby powiedzieć — nienawidził Polski, starał się ze wszystkich sił ograniczyć jej terytorjum, jej siłę i rozwój.

W czem tkwiła przyczyna tej nienawiści? Odpowiedź nie jest prosta. Kto wie, czy sam brytyjski mąż stanu potrafiłby ją wyjaśnić, czy wyznałby się w animozji, na którą się składały niejasne uczucia i uprzedzenia. Nieufność, pogarda protestanta „nie - konformisty" dla kraju rdzennie katolickiego, w którym podobnie jak w Hiszpanji, religja z patrjotyzmem stapiała się w jedno poprzez długie wieki. Ignorancja prawie, że kompletna w dziedzinie historji i geografji europejskiej; przekonanie, że Polska — pomimo, iż istniała wieki — jest tworem samowolnym i stucznym i że jako taka nie posiada żadnych szans, żadnych możliwości bytu.

* * *

Jeżeli Polska nie może się obejść bez dostępu do morza, który jej zresztą został formalnie obiecany przez aljantów: Anglików, Francuzów, Amerykanów i Włochów, jeżeli port wraz z pewną rozciągłością wybrzeży jest jej niezbędnym, to tym portem nie mógł nie być Gdańsk, oraz sąsiadujące z nim wybrzeża.

Zresztą Gdańsk był przez wieki zespolony z Polską. Okres jego egzystencji polskiej jest o wiele dłuższy, niż okres czysto niemiecki. Ludność miasta jest z całą pewnością w większości germańska. Ale zato ludność tego całego polskiego Pomorza — niewłaściwie nazwanego „korytarzem" — jest w większości polska i nawet za pruskich czasów wysyłała polskich posłów do Reichstagu.

Trzebaż było poświęcić kilka miljonów wieśniaków dla dwóch czy trzech setek tysięcy mieszczan?

Podobne kwestje wyłoniły się z okazji wytyczania nowych granic w wielu punktach Europy wschodniej i środkowej, pomiędzy Węgrami a Austrjakami z jednej strony i pomiędzy Czechami a Rumunami z drugiej. Narodowości są splątane z sobą do tego stopnia, że jeśliby się chciało wysłuchać wszelkich rekryminacyj, musiałoby się stworzyć dziesiątki enklaw i „wolnych miast", co doprowadziłoby do anarchji i chaosu.

Traktat pokojowy nie jest w stanie uszanować wszystkich praw, ochronić wszystkich interesów, nie jest w możności dogodzenia wszystkim w jednakowym stopniu. Dążenie do doskonałości byłoby tu chimerą. Pod pretekstem naprawienia jednego zła ryzykuje się popełnienie kilku o wiele poważniejszych.

Przywrócenie Polsce części Pomorza, która odcięła Prusy Wschodnie od reszty Niemiec (to odcięcie istniało zresztą przez długie wieki) wystarczyło do wytworzenia między obydwoma państwami stanu dość niepokojącego. Zbytecznem było skomplikowanie go i zaostrzenie przez stworzenie wolnego miasta.

Gdańsk jest jednem z najbardziej pociągających, najbardziej malowniczych miast germańskich. Termin „germańskich" nie jest tu może całkiem odpowiedni. Należałoby raczej powiedzieć: hanzeatyckich, gdyż wszystkie te miasta Hanzy: Hamburg, zanim się doczekał swego wspaniałego rozkwitu, Lubeka, Brema i Gdańsk miały wiele cech wspólnych. Położenie nad morzem Północnem lub Bałtyckiem, handel morski, stosunki z zagranicą, nadały im ten sam pierwiastek piękna architektonicznego, życia społecznego i cywilizacji.

Istniały jedynie dzięki swoim portom, którym zawdzięczały zarówno rację bytu jak i wyżywienie, które też nadawały im ich odrębny koloryt, wygląd i oryginalność.

Zwiedzając niektóre ulice Gdańska odnosi się wrażenie, że życie się cofnęło o kilka wieków wstecz. Długiemi szeregami ciągną się tu stare domostwa patrycjuszowskie, kamienice bankierów i armatorów, z podwójnemi schodami i balkonami. Gdańsk liczy ich na setki.

Oto dom, w którym się urodził Schopenhauer a tuż obok dom jego matki. Wydaje się, że w tych dzielnicach nie zmieniło się nic od bardzo dawna, za wyjątkiem stopniowego i stałego zubożenia mieszkańców. Wszyt ko wskazuje na to, że jeśli nie zajdzie w najbliższych czasach jakaś decydująca zmiana polityczna, to sytuacja jeszcze się pogorszy.

Czyniąc z Gdańska — leżącego w enklawie polskiej — miasto nominalnie wolne, niezależne od Polski, traktat wersalski skazał go przez to samo na śmierć głodową. To była bezpośrednia, nieuchronna konsekwencja. Wolność nadana temu miastu była wolnością bez chleba.

Zmuszona do obchodzenia się bez Gdańska, który był jej naturalnem oknem na świat przez długie wieki i który powinien był wrócić do tej roli, Polska postanowiła kosztem olbrzymich sum i wysiłków stworzyć sobie nowy port tuż obok dawnego i na jego miejsce.

Było to zadanie na miarę olbrzyma, ale Polska nie cofnęła się przed niem. Zabrała się z całą energją do pracy. Dzięki pomocy kapitałów i inżynierów francuskich projekt został zrealizowany Port nazwano Gdynią. Zwiedziłem go w towarzystwie jednego z moich rodaków, który położył wielkie zasługi około jego powstania i rozwoju. Przeszedłem długą przestrzeń wybrzeży, zwiedziłem doki, podziwiałem olbrzymie prace, dokonane w ciągu niespełna piętnastu lat.

Gdyby Gdańsk, naturalny dostęp Polski do morza, został jej przyznany, obeszłoby się bez tych kolosalnych wydatków.

Z chwilą wybudowania nowego portu, dawny — jak to było do przewidzenia — rozpoczął powolne konanie. Z ekonomicznego punktu widzenia jest Gdańsk miastem umierającem. Posiadając własny rząd i własną administrację pod egidą Ligi Narodów, chciał też mieć własną monetę: guldena gdańskiego. Pieniądz ten załamał się w ostatnich czasach, czemu zresztą żaden rozsądny człowiek nie będzie się dziwił. Zdumiewającym raczej jest fakt, że to załamanie nie nastąpiło wcześniej.

Ponieważ Gdańsk uważa się za część Niemiec, siłą od nich oderwaną, więc też stał się uprzywilejowanym terenem propagandy narodowo - socjalistycznej. Większość mieszkańców, choćby nawet w głębi duszy uważała się za dobrych Niemców, pragnęłaby prawdopodobnie żyć w spokoju i korzystać z wolności, które im zapewnia stan tej miniaturowej republiki. Ale miejscowi przedstawiciele narodowego socjalizmu nie pozwalają im na chwilę wytchnienia, trzymając ich ustawicznie w stanie niepokoju i podniecenia.

Sfery rządzące Berlina i Warszawy uzgodniły wytyczne ogólnej polityki, ale w codziennej oczywistości życiowej niepodobieństwem jest uniknięcie tarć pomiędzy Słowianinem a Germanem. Te tarcia są częstsze, przeciwieństwa żywsze i gwałtowniejsze na terenie Gdańska, niż gdziekolwiek indziej. Tragiczny pojedynek trwa, dwie rasy, nie mogące się zasymilować, stopić z sobą, prowadzą odwieczną walkę.

W tej chwili, sytuacja przedstawia się o wiele korzystniej dla Polski. Przed dwoma laty Niemcy postanowiły nie popierać rewindykacyj Gdańszczan, a to w tym celu, by nie drażnić Polski, która do niedawna należała do obozu ich przeciwników. Definitywne zrzeczenie się, czy proste zawieszenie broni? Niemcy opuściły Gdańsk i „korytarz", dzielący ich terytorjum na dwoje. Czy w dniu, w którym odzyskają swoje siły militarne i dyplomatyczne nie zbuntują się przeciw temu?

W odpowiedzi nasuwają się najpoważniejsze wątpliwości.

Wszyscy, którzy znają Niemców i ich brak poszanowania dla traktatów, mających w ich oczach wartość jedynie względną, nie zaś definitywną, patrzą z niepokojem na terytorjum, w którem pokój wydaje się być zagrożony.

M. O.

Wojna gazowa na morzu

Jakkolwiek w czasie ostatniej wojny światowej stosowanie gazów trujących ograniczone było wyłącznie do walk na lądzie, — nie ulega już dziś żadnej wątpliwości, że nowa ta, straszna broń znajdzie wydatne zastosowanie w przyszłej wojnie również i na morzu.

Toteż wielkie mocarstwa morskie oddawna już pracują intensywnie nad znalezieniem najodpowiedniejszych i najskuteczniejszych metod walki gazowej na morzu oraz środków obronnych przed ewentualnemi atakami.

Walka ta musi mieć zupełnie inny charakter, z uwagi na to, że atakujący ma przed sobą cel ruchomy: okręty, płynące z pewną, dość znaczną szybkością. Atak gazowy na szerokim froncie przedstawiałby niebezpieczeństwo równie niemal wielkie dla obu stron, — zwłaszcza wobec zmienności prądów powietrza, które łatwo mogłyby chmury trujących gazów unieść w zgoła niepożądanym kierunku.

Jedynie racjonalnem wydaje się zatem rzucanie bomb trujących na upatrzony cel, t. j. wprost na okręty nieprzyjacielskie. Ten sposób walki posiada ponadto i tę „zaletę", że przy stosowaniu np. iperytu cały pokład okrętu, wszystkie jego kabiny, magazyny, cały sprzęt okrętowy, skutkiem zakażenia staje się na dłuższy czas niezdatnym do użytku. Kilkadziesiąt bomb iperytowych, rzuconych na okręty przeciwnika, zdolne są zatem unieruchomić i unieszkodliwić czasowo całą flotę, umożliwiając atakującemu zwycięstwo.

A operacja taka wydaje się tem łatwiejszą, że okręt zaatakowany nie ma możności ucieczki, a przynajmniej szanse tej ucieczki są znacznie ograniczone.

W tych warunkach kwestja obrony i zabezpieczenia się przed zgubnemi skutkami ataku gazowego na okręcie przedstawia się bardzo skomplikowanie.

Obrona ta musi być indywidualna i zbiorowa.

Indywidualna, o ile idzie o tę część załogi, która normalnie korzysta na okręcie z pełnej swobody ruchów, nie będąc przywiązaną do jakichś specjalnych aparatów i funkcyj, jak oficerowie i marynarze wyznaczeni do normalnej obsługi samego okrętu. Dla nich wystarcza maska przeciwgazowa oraz odpowiednie ubranie, naturalnie bardzo szczelnie osłaniające.

Koniecznem też będą specjalne okulary, umożliwiające posługiwanie się lunetą i rozmaitemi instrumentami optycznemi.

Reszta załogi, w szczególności zajęta przy kotłach i maszynach, musi być zabezpieczoną przed zgubnem działaniem gazu w samem miejscu swego stałego pobytu. Miejsca te mają urządzenia, pozwalające zamienić je każdej chwili w rodzaj schronu, gdzie specjalne aparaty filtrowe oczyszczają napływające powietrze, zatrute gazem, podczas gdy inne aparaty doprowadzają potrzebne ilości tlenu a absorbują szkodliwy bezwodnik kwasu węglowego.

Jak z powyższego widać, obrona przeciwgazowa na okręcie jest problemem znacznie trudniejszym do rozwiązania, tem więcej, że trudno będzie osiągnąć np. zupełne uszczelnienie w wieżach strzelniczych, w których wyloty dział muszą mieć wolną przestrzeń, celem kierowania ich w jedną czy drugą stronę.

Zresztą, czy to będzie maska gazowa, czy schron, — jedno i drugie redukuje w bardzo znacznym stopniu wartość bojową okrętu, powodując szybkie osłabienie całej załogi. Dlatego najważniejszą rolę do spełnienia będzie miała artylerja przeciwlotnicza, zdolna odeprzeć ewentualny atak samolotów nieprzyjacielskich. Rzeczą zaś kapitana okrętu będzie dać zawczasu sygnały ostrzegawcze, by załoga mogła przywdziać maski gazowe, względnie uruchomić urządzenia ochronne.

(n.).

20.000 czy 60.000?

Wśród młodszych historyków na szych zajmuje dr. O. Górka zupełnie odosobnione stanowisko. Nie dlatego jedynie, że jest on zdeklarowanym wyznawcą rewizjonizmu, równoznacznego — w jego pojęciu — z metodą systematycznego „odbronzowiania", — lecz dla zupełnie swoistych metod pracy, gdzie bujna fantazja (duża zaleta powieściopisarza, a największa wada ści słego badacza i historyka!) idzie w parze z bardzo swobodną interpretacją „źródeł historycznych", z których dr. Górka wybiera tylko te, które mu w danej chwili są potrzebne dla poparcia postawionej tezy.

Wszystko to cechowało jego pracę „*Ogniem i mieczem a rzeczywistość historyczna*", która też spotkała się z bardzo surową krytyką historyków, wy kazujących bezpodstawność zarzutów skierowanych przez dr. Górkę przeciw Skrzetuskiemu i Jeremiemu Wiśniowieckiemu.

Fachowe czasopisma historyczne pracy tej nie poświęciły wogóle żadnej wzmianki, stosując metodę pobłażliwego przemilczania. Natomiast ostro i dosadnie rozprawił się z dr. Górką znany badacz i pisarz Krakowski, Zygmunt Lasocki, operując w argumentach swych ściśle naukowym i historycznym materjałem.

Obecnie jesteśmy znów świadkami pojedynku obu pisarzy, — a to w związku z wydaną ostatnio pracą dr. Górki „*Uwagi orjentacyjne o Tatarach polskich i obcych*".

W pracy swej usiłuje dr. Górka obniżyć wartość świetnych zwycięstw rycerstwa polskiego nad Tatarami, przed stawiając tych ostatnich jako znakomitych, niezwykle mężnych wojowników, którzy mimo swej bardzo szczupłej liczby odnosili wspaniałe sukcesy wojenne nad naszemi wojskami.

Zdaniem dr. Górki Tatarzy mogli wyprowadzić w pole „najwyżej 20 tysięcy jazdy, rozbijających z łatwością w polu formacje lekkiej jazdy polskiej, a nawet znoszących doszczętnie chorągwie kozackie".

A więc znowu istne rewelacje, obalające wszystkie nasze dotychczasowe pojęcia o sile i wartości bojowej Tatarów z jednej, a naszych wojsk z drugiej strony!

* * *

Należało przypuszczać, że do wniosków tych doszedł dr. Górka po żmudnem i sumiennem przestudjowaniu zna nych czy nieznanych, ale zasługujących bądź co bądź na wiarę, źródeł.

Niestety — wbrew utartej, — a obowiązującej w pracach historycznych praktyce, dr. Górka ogranicza się do bardzo ogólnikowej uwagi, mówiąc tyl ko o „wszystkich źródłach obcych", a nie cytując żadnego z nich.

Już to samo obniża i stawia pod wielkim znakiem zapytania wartość jego „rewelacyj".

W jednym zaś konkretnym wypadku, gdy idzie o bitwę pod Cecorą, cytuje opis tej bitwy w przekładzie z pracy tureckiego pisarza Ibrahima Peczewiego, który zdaniem dr. Górki

„należy nietylko do najważniejszych ale i do najwiarygodniejszych historyków tureckich dla 1520—1639".

Jak ta „wiarygodność" naprawdę wygląda, — o tem można wyrobić sobie z łatwością pojęcie, czytając w opisie bitwy pod Cecorą takie historyjki, jak: rozbicie zupełne ponad 53 tys. Polaków przez 10 tysięcy Tatarów, pojmanie do niewoli hetmana Żółkiewskiego i odesłanie go, zakutego w kajdany, padyszachowi!

Otóż o ile idzie o bitwę pod Cecorą mamy tu świadectwo nie obce, ale swoje, najbardziej autentyczne: świadectwo samego hetmana Żółkiewskiego, dzielnego i prawego żołnierza, który znaczną część swego pracowitego żywota spędził na kresach i znał doskonale stosunki wśród Tatarów. W przeddzień cecorskiej klęski, dnia 24 września 1620 pisze z obozu list do króla, donosząc:

„Wojska sułtan Gałga i Skinderbasza mają wielkie, dobrze więcej nad 60 tysięcy"...

Taksamo zresztą oblicza siły Tatarów pod Cecorą Szujski w swoich „Dziejach Polski".

Na okoliczność tę zwraca słusznie uwagę Z. Lasocki w wydanej świeżo broszurce „*O Tatarach dra Górki*", zbijając punkt za punktem hipotezy dr. Górki, nie poparte żadnym historycznym, a zasługującym na wiarę materjałem.

W konkluzji dochodzi Z. Lasocki do wniosku, że jako maximum sił tatarskich, które mogłyby wyruszyć w pole, należy przyjąć nie 20 tysięcy, jak to chce dr. Górka, lecz około 60 tysięcy, zgodnie z zapatrywaniem wszystkich wybitnych historyków polskich. Że współczesnych gen. Kukiel, znakomity znawca dziejów wojskowości w Polsce, dochodzi do wniosku, że sam chanat krymski mógł wystawić do 50 tysięcy żołnierza. Jeśli doliczymy do tego mniejsze ordy, — dochodzimy znów do przybliżonej cyfry 60 tysięcy.

* * *

Skoro upada ta zasadnicza przesłanka o szczupłości wojsk tatarskich, — sławione przez dr. Górkę ich męstwo, odwaga i wspaniałe sukcesy przedstawiają się w innem nieco świetle.

Karty naszej historji notują wielokrotnie wspaniałe zwycięstwa nielicznych zazwyczaj wojsk polskich nad kilkakrotnie silniejszą liczebnie ordą tatarską. Tatarzy bowiem, — co zgodnie stwierdzają wszystkie niemal źródła polskie i obce — byli z zawodu nie żołnierzami, lecz rabusiami. Szli na wojne przedewszystkiem po to, by rabować i brać w jasyr. Z regularnym, wyćwiczonym żołnierzem unikali raczej zetknięcia. Mówi o tem już Żółkiewski:

„Tatary gromić tak niemal niepopodobna, jak kiedyby kto chciał pta ki na powietrzu latające pobić".

A jeżeli już atakowali, to tylko wówczas, gdy mieli znaczną przewagę liczebną. Zresztą tylko wtedy mogli rozwinąć znany swój szyk bojowy, półkole zmierzające do okrążenia nieprzyjaciela.

O wartości bojowej Tatarów zresztą mieli Polacy zgoła niepochlebne wyobrażenie, co potwierdza nawet „źródło obce", mianowicie Fryzyjczyk von Werdum, naoczny świadek walk Sobieskiego z Tatarami w roku 1671.

Niestety dr. Górka, tak chętnie i bez zastrzeżeń powołujący się na źródła obce, którym daje większą wiarę, niż polskim, — w pracy swej o tem źródle ani słówkiem nie wspomina.

Tak wyglądają w streszczeniu najnowsze „rewelacje" dr. Górki o Tatarach, — skomentowane należycie repliką Z. Lasockiego.

Nie odbiegają one swym poziomem i wartością historyczną od poprzedniej pracy dr. Górki i zapewne taksamo przejdą bez echa. *(K.)*

I. F. Semmelweis

(w siedmdziesiątą rocznicę śmierci)

Nazwisko Semmelweisa znane jest zaledwie szczupłej stosunkowo garstce lekarzy i historyków medycyny. Nie miał szczęścia ten człowiek w swojem krótkiem życiu, które poświęcił dla dobra i ratunku cierpiącej ludzkości.

Nie doceniany, wyśmiewany nawet za życia, nie zdobył uznania współczesnych, — a wielkie jego odkrycie poszło w zapomnienie, z którego wydobyli je dopiero szczęśliwsi od niego Pasteur i Lister.

Pochodził z budapeszteńskiej zamożnej rodziny kupieckiej. Jako 17-letni młodzieniec wyjechał w roku 1835 do Wiednia, zamierzając poświęcić się studjom prawniczym. Przypadkowa obecność w zakładzie anatomicznym podczas sekcji zadecydowała o jego dalszej karjerze. Semmelweis porzuca prawo i zapisuje się na wydział lekarski.

W roku 184 zostaje asystentem I. Oddziału położniczego w szpitalu powszechnym we Wiedniu.

Na oddziale tym działy się niesamowite wprost rzeczy. Oto w ciągu jednego miesiąca kwietnia z pośród 208 położnic zmarło tam 36 na gorączkę połogową. Niezwykła ta śmiertelność wydawała się tembardziej zagadkową, że na znajdującym się obok, a oddzielonym tylko kurytarzem drugim oddziele tegoż szpitala, będącym równocześnie szkołą położnych, — śmiertelność była pięciokrotnie mniejsza.

Był to fakt, powszechnie we Wiedniu znany. Toteż kobiety chwytały się wszelkich możliwych wybiegów i kruczków, by mogły dostać się na drugi oddział, gdzie śmierć nie zbierała tak obfitego żniwa.

* * *

Wszystkie te fakty nie uszły uwagi Semmelweisa, który postanowił sobie znaleźć właściwą przyczynę tych licznych wypadków śmierci. Nie zadowalniało go przyjęte wówczas ogólnie tłumaczenie, akceptowane nawet przez dyrektora szpitala, dr. Kleina, a nie kwestjonowane i przez taką znakomitość, za jaką uchodził wówczas prof. Virchow, iż owa śmiertelna epidemja wśród położnic była pochodzenia „atmosferyczno - kosmiczno - tellurycznego".

Tak samo nie mógł pogodzić się z orzeczeniem specjalnie powołanej komisji lekarskiej, która całą winę tych smutnych wypadków zwaliła na... lekarzy i studentów medycyny, pracujących na oddziale I.: ich ręce były większe i bardziej szorstkie, niż ręce położnych na oddziale II., gdzie cały personal był wyłącznie kobiecy.

Szukał tedy dalej Semmelweis przyczyny tej śmiertelnej choroby, jaką była gorączka połogowa. A szukał sumiennie: co dnia niemal, przed wizytą na oddziale, przeprowadzał wraz ze swymi słuchaczami sekcje kobiet zmarłych na gorączkę połogową, — by następnie, po obmyciu zwyczajnem rąk iść na salę, gdzie leżały pacjentki!

Ale śmiertelność nie malała!

I owszem, im więcej robił sekcyj, — tem więcej było wypadków śmierci.

W tym czasie zaszedł tragiczny wypadek, który mu dopiero otworzył oczy. Oto jeden z jego kolegów, skaleczony przypadkowo nożem podczas sekcji zwłok, umarł na zakażenie krwi. Czyż nie takiem samem zakażeniem jest gorączka połogowa? I czy nie on przenosi zarazki na swych rękach, któremi przed chwilą dopiero przeprowadzał sekcję?

* * *

Praktycznie interesowało go nie tyle samo zagadnienie, jakie to zarazki powodują chorobę, — jak raczej skuteczna walka z niemi. W jaki sposób można zapobiec zakażeniu? Przez przestrzeganie absolutnej czystości rąk i wszelkich instrumentów, jak również wszelkich przedmiotów, z któremi położnica może się stykać bezpośrednio lub pośrednio.

Wydał więc przedewszystkiem zarządzenie, by każdy lekarz czy student, przed zbliżeniem się do położnicy, obmywał starannie ręce wodą chlorową. To jedno wystarczyło, by śmiertelność na jego oddziale spadła o 90 proc.

Z równą skrupulatnością przestrzegał absolutnej czystości na sali oraz dezynfekcji wszystkich instrumentów.

W parę lat później przenosi się Semmelweis do Budapesztu, gdzie zostaje prymarjuszem w szpitalu św. Rocha. — I tam wprowadza w czyn swoje ideje, osiągając jaknajlepsze wyniki. W r. 1856 nie było w szpitalu ani jednego wypadku gorączki połogowej.

* * *

Ale świat lekarski odnosi się do jego teorji bardzo sceptycznie. Następca jego w szpitalu wiedeńskim, dr. Braun, wyśmiewa wręcz jego pomysł mycia rąk w wodzie chlorowej, twierdząc, że od czasu wprowadzenia tej manipulacji, umiera więcej jeszcze położnic, niż poprzednio.

Krytykują też ostro poglądy Semmelweisa takie powagi owczesne na polu ginekologji, jak prof. Scanzoni, prof. Siebold, prof. Späth i szereg innych.

Rozgoryczony i dotknięty do żywego Semmelweis wraca w roku 1865 do Wiednia. Przejścia te jednak odbiły się fatalnie na jego umyśle. W wyniku zapalenia opon mózgowych popadł Semmelweis w obłąkanie i dnia 13 sierpnia 1865 zakończył życie w sanatorjum w Oberdöbling koło Wiednia.

Życie to było ciężkie, nie różami usłane: walczyć musiał z zastarzałemi przesądami, uprzedzeniami i niechęcią swych kolegów, walczyć w imię wielkiej i dobrej sprawy, by ulżyć cierpieniom i ratować życie tysiącom.

(dr. L.)



„Niemiecka rasa"

Założenia doktryny rasowej nordycznej a niemieckiej

Niemiecki ruch rasowy, nazywający się ruchem nordycznym, jest dziś w Niemczech zjawiskiem potężnem. Ruch rasistyczny jak wiadomo szerzy sugestję, jakoby ludzie rasy nordycznej stanowili bardziej wartościowy element ludzki, zwłaszcza w odniesieniu do życia politycznego i kulturalnego. A że wedle wierzeń niemieckich rasistów rasa nordyczna grupuje się w północno-zachodnich, germańskich Niemczech, przeto doktryna nordyczna budzi obawy na dawniej słowiańskim Wschodzie i na celtycko - romańskiem Południu. Nic tedy dziwnego, że przeciwnicy myśli nordycznej bronili już od dość dawna reszty Niemiec przed supremacją nordycznego ośrodka w Niemczech. Przeciwnicy ci niejednokrotnie wysuwali obawy, że myśl nordyczna może się stać groźną dla niemieckiej jedności narodowej. Te zastrzeżenia doprowadziły w ostatnich latach do powstania nowej idei polityczno - rasowej, do swoistego ruchu rasowego, wysuwającego hasła „rasy niemieckiej". Ruch ten jest wyraźnie skierowany przeciw oficjalnie dziś uznanemu ruchowi nordycznemu.

Podstawą teoretyczną całego ruchu stały się prace dwóch docentów niemieckich. Są nimi Fr. Merkenschlager, botanik, zajmujący się zagadnieniami antropologicznemi, oraz K. Saller, docent antropologji. Oni to w szeregu prac, artykułów naukowych i publicystycznych budują teorję „rasy niemieckiej", gromadząc około siebie elementy niezadowolone z obecnej niemieckiej polityki rasowej. W akcji tej wykazują obaj uczeni dużą ruchliwość, pomysłowość oraz odwagę.

Naukowe tezy całego ruchu najlepiej ujmuje praca Fr. Merkenschlagera zatytułowana Rassensonderung, Rassenmischung, Rassenwandlung. Ujęcia Merkenschlagera nie są pozbawione oryginalności. Wprowadza on do antropologji momenty klimatyczne i botaniczne. Rasy nie ujmuje on ze strony statycznej, nie posługuje się momentami morfologji. Rasa jest dla niego czemś dynamicznem. Rozwija się ona pod wpływem klimatycznych przedewszystkiem warunków otoczenia. Jeżeli te warunki trwają, to trwa i rasa, jeżeli warunki się zmieniają, to przychodzi na miejsce starej rasy nowe życie, a stare częściowo wymiera, częściowo zaś łączy się z nowem i przekształca na skutek mieszaniny. Na wędrówki i zmiany rasowe rodzaju ludzkiego patrzy on przez pryzmat wędrówki roślin użytkowych, jak pszenica, żyto i ziemniaki.

Czasy lodowcowe wytworzyły wedle autora w Europie północnej i w Niemczech rasę łowców, długogłowców, o psychice wybitnie łowieckiej, skłonnej do ruchu, miłującej przestrzeń, skłonnej do wojen, podróży, podbojów i bohaterskiego życia. A le w miarę ustępowania lodowca dostawały się do Europy ludy rolnicze, które przyniosły z Azji i Afryki rolnictwo. W czasie wędrówki ludów, zaś Niemcy okupował lud niosący ze sobą żyto i chmiel. Ludem tym są po słowiańsku mówiący Wendowie, różni jednak od Słowian (?).

Wszystkie te rasy, współżyjące razem ze sobą, zaczęły tworzyć pewną całość, coś nakształt stopu. Powstanie tego stopu nazywa autor procesem niemieckim. Z zespolenia się tych rozmaitych elementów powstaje na naszych oczach, rozmaicie w rozmaitych miejscach posunięta w stapianiu się „rasa niemiecka". Niemcy są według autora ani germańskie, ani słowiańskie, ani też celtyckie, ale są czemś nowem, są niemieckie. Wszystkie elementy rasowe są dla narodu jednakowo cenne, należy im dać żyć i utrzymywać swoje życie w wolnej grze interesów. Utopją jest chęć powiększenia przez ruch nordyczny ilości krwi nordycznej w Niemczech. Dziś nie żyjemy w czasie myśliwskim, przeto rasa nordyczna, myśliwska nie da się obecnie rozmnożyć w nadmiernej ilości. W jednem miejscu zaznacza też autor ironicznie, że istotnie „przestrzeni" (Raum) potrzebuje jedynie myśliwska rasa nordyczna.

Ekspansja na wschód dewizą propagatorów „rasy niemieckiej".

Opierając się o takie to pierwiastki teoretyczne napisali obaj wymienieni uczeni w obecnym roku książkę zatytułowaną: Vineta — eine deutsche Biologie von Osten her geschrieben Wrocław. Jest to coś w rodzaju geografji i historji rasowej Niemiec. Bardzo wielką uwagę zwrócili autorowie na rasowy i cywilizacyjny wpływ Słowian na niemieckim Wschodzie. Książka poza tem ma charakter książki politycznej. Wysuwa ona na podstawie specjalnej mistyki i historjozofji rasowej żądania i sugestji podboju Polski. Na str. 137 czytamy:

„Od południka Winety do Emden i do Tylży oscyluje wahadło niemal na równą odległość. Rozwój biologiczny występuje tu prawie, że z precyzją mechanizmu zegarowego. Niemcy mu szą sięgnąć tak daleko.

Niemcom tyle potrzeba Wschodu, ile mają Zachodu".

Niemcy muszą zdobyć tyle ziemi na Wschodzie ile mają na zachód od Odry, gdyż w ten sposób tworzyć będą organiczną jednostkę antropogeograficzną, oraz zdołają wypełnić swą misję historyczną. Misja ta, to możność życia Niemiec pomiędzy Azją i Atlantydą. Cała przyszłość niemiecka jest wedle „Vinety" na Wschodzie.

Książka ta jest ze wszechmiar ciekawa. Można ją ze względu na te właśnie tendencje polityczne uważać jakby za pewnego rodzaju ofertę autorów i stojących za nimi antynordycznych sił społecznych w kierunku obozu rządzącego. Ponieważ politycznie ruch nordyczny skierowany jest na słowiański Wschód, przeto autorzy „Vinety" pokazują, że można do sprawy penetracji wschodniej podchodzić bez doktryny nordycznej. Co więcej, w literaturze kierunku niemiecko - rasowego jest sporo miejsc, wskazujących na nie bezpieczeństwo, jakie niesie ze sobą myśl nordyczna dla Niemiec.

Obok książek wyżej wymienionych, nowy ruch rasowy zaczął przeprowadzać w ostatnich dwu latach dość szeroko zakrojoną propagandę publicystyczną, nietylko w prasie opozycyjnej, ale także w niektórych organach narodowo - socjalistycznych. Agitacja ogarnęła także niektóre koła partji, korzystając zapewne z tego faktu, że Merkenschlager jest starym hitlerowcem.

Niepopularność myśli „rasy niemieckiej" w sferach rządowych.

Jednakże koła nordyczne nie zasypiały gruszek w popiele. Zaczęto systematyczną akcję przeciwko grupie propagującej doktrynę „rasy niemieckiej". Na czele tej akcji stało czasopismo nordyczne „Rasse", ukazujące się w Lipsku. Skutek akcji niedługo kazał na siebie czekać. Z początkiem tego roku zakazano w Niemczech książki Merkenschlagera i Sallera „Vineta" oraz Sallerowi ma się odebrać prawo wykładania na uniwersytecie. Jako powód tych zarządzeń urząd rasowo - polityczny podał przedewszystkiem ten fakt, że „idea rasowa jest dla socjalizmu narodowego ważnym i decydującym składnikiem jego światopoglądu".

Wobec tego żaden uczony, wedle tego oświadczenia, nie może pod pokrywką naukowych teoryj przeprowadzać przeciwpropagandy. Sallerowi zarzuca przytem urząd rasy, że tworzy on rasy kapitalistów i uciemiężonych i wogóle rasy społeczne.

Redakcja czasopisma „Rasse", zdając w trzecim zeszycie bieżącego roku sprawę z upadku Sallera w artykule „Der Fall Saller" wysuwa przypuszczenie, że Merkenschlager jest związany z Ottonem Strasserem oraz Żydami. Jak z tego i szeregu pogróżek widać, cała sprawa jest raczej przytłumiona, aniżeli zlikwidowana.

Karol Stojanowski, (Toruń)

Polski Dom Wypoczynkowy k\Warny

St. Constantin (Bułgarja) w lipcu 1935

Gdy pierwsza część mych notatek pod powyższym tytułem ukazała się w dodatku niedzielnym z dnia 4. VIII. b. r. — pośpieszam teraz podać do wiadomości Szanownych Czytelników, dalszą część tych notatek z podróży mej nad Czarne morze, — jakoże treść tychże, obecnie, w sezonie wyjazdów wakacyjnych na południe, — może wielu zainteresować i im się przydać, jako aktualne i potrzebne wskazówki i informacje.

Jednym z ważnych momentów każdej podróży dłuższej, jest dokonanie jej w warunkach możliwie jak najwygodniejszych, oraz w czasie i trasą jak najkrótszą. Podróże bowiem koleją żelazną przesiębrane — choćby w warunkach jak najwięcej przyjemnych — nużą, wyczerpują prędko każdego, a cóż dopiero wśród piekielnego skwaru krajów przypołudniowych i urządzeń kolejowych jeszcze tak prymitywnych, jakie istnieją obecnie w Bułgarji, zwłaszcza na szlakach pobocznych. To też podróż do Warny z Bukaresztu trasą na Giurgiu-port — Ruszczuk, jest prawdziwą torturą; przestrzeń tę — wynoszącą zaledwie około 250 klm, — przebywa się (wliczając w to czas potrzebny na przejazd Dunaju promowym statkiem) — w nieprawdopodobnie długim okresie czasu 14 godzin. Prawie pół-żywi z kanikuły i pragnienia — przebywaliśmy tę trasę tam i z powrotem. Tymczasem w sposób bardzo wygodny, przyjemny i o połowę krótszy, — można odbyć tę podróż do Warny, jadąc ze Lwowa i omijając Bukareszt — wprost przez Bureu do Constanzy w Rumunji, a stąd statkiem w ciągu najwyżej 5 godzin spokojnem morzem do Warny.

Rzeczą więc było centrali warszawskiej „Orbisu" w drodze konferencji międzynarodowych biur podróży, — wyż wskazaną trasę ustalić i prowadzić wycieczkę swoją do Warny tą krótszą drogą, a nie skazywać wycieczkowiczów na znoszenie wprost tantalowych tortur.

Jak bardzo szwankowały imprezy, urządzane przez „Orbis" bieżącego lata, niech służą za przykład liczne żażalenia wielkiej wycieczki nauczycielskiej, która wyruszyła z kraju do Warny w połowie lipca b. r. via Wiedeń i Dunajem przez Budapeszt do Ruszczuku. Tych wycieczkowiczów załadowano w Budapeszcie na statek, pozbawiony dostatecznej ilości kabin, a nawet zwykłych leżaków, tak, że znaczna część podróżnych, w warunkach jak najfatalniejszych, odbyła tę długą trasę podróży Dunajem w ciągu 2½ dób pełnych. A naprawdę — aż wstyd nam było, Polakom, widzieć i słyszeć, oraz porównywać, wśród jakich miłych i przyjemnych, a zwłaszcza tanich warunków podróży, odbywają takie same zbiorowe podróże do Warny: Niemcy, Węgrzy i Czesi. — Tak to u nas utykają, niestety, na wielu punktach, organizacje, przedsiębiorstwa, imprezy „nasze".

Przechodząc do innego tematu, a mając na uwadze, że intencją ogłoszenia drukiem mych notatek w prasie krajowej, jest tylko cel informacyjny, wypada mi nadmienić kilka słów o sposobach odżywiania się sfery lepiej sytuowanej w Bułgarji. Nas, Polaków, przyzwyczajonych do naszej smacznej kuchni i przyrządzania potraw z użyciem masła, a choćby słoniny, lub smalcu, — spotyka w Bułgarji przykrość pewna — kulinarna. Oto w restauracjach, pensjonatach i hotelach, wszędzie kucharki, czy kucharze, używają wyłącznie oleju ze ziarn słoneczników wyciskanego, a więc dla naszego podniebienia wprost nieznośnego; ale żeby przynajmniej Bułgarzy choć oliwy (do nasion drzew oliwkowych) używali do kuchni, gdzietam! Raczej z trudnością masła kiepskiego gdzieś wydostaną i użyją, jak dobrej nicejskiej oliwy, której tu nie sprowadzają.

Niechże więc pamiętają o tem nasi letnicy-smakosze i wybredni grymaśnicy, że muszą do niewybrednej kuchni bułgarskiej się przyzwyczaić i nauczyć jadać prawie wszystkie potrawy mięsne, mocno papryką i korzeniami zaprawione, a sosami hojnie podlane.

Za to goście, przybyli tu do Warny, użyją sobie już w lipcu, a zwłaszcza w drugiej połowie sierpnia na owocach południowych i jarzynach, jak bakłarzany, karczochy, kapaczki, tykwy i dynie, słódkie papryki, przewyborne gatunki kukurydzy, pomidory, melony i kawony, a wreszcie na winogronach, których do obiadu dodaje się w ilościach najmniej 1 klg. jako bezpłatny dodatek.

Dlatego też radzę usilnie wszystkim chętnym do wyjazdów do Warny, wyjeżdżać tam dopiero w sierpniu, gdy natężenie upałów i skwarów minie, a woda w morzu zatrzyma stale temperaturę swą 23—26 st. C., gdy noce przyniosą orzeźwiający chłód, którego nieraz w lipcu nawet nocami zaznać nie można i gdy wreszcie obrodzą i dojrzeją winnice. Przeprowadzić wtedy można tanio kurację winogronową, jedną z najlepszych kuracyj leczniczych, skuteczą na złą przemianę materji, a odnowienie organizmu ludzkiego powodującą.

Również gorąco zalecam matkom polskim zabierać i przyjeżdżać tu z dziećmi niedokrwistemi, z brakiem apetytu, wycieńczonemi po przebytych chorobach lub zmęczonemi całoroczną pracą w szkołach. Kochając dziatwę gorąco, obserwowałem jak dzieciaki wprost w oczach zmieniały się na korzyść, wracały tu do pełni zdrowia i nabierały apetytu, rumieńców i pięknej opalenizny — pod wpływem słońca.

wody, powietrza morskiego, ciągłego ruchu, owoców i jarzyn tutejszych.

To też Bułgarzy masowo wysyłają tu swe kolonje letnie młodzieży dorastającej obojga płci. I podziwiałem ze zdumieniem i dozą pewnej zazdrości, z jaką wprost matczyną czułością i starannością dziecite w tych kolonjach od rana do nocy przez nauczycieli i nauczycielki bułgarskie są pielęgnowane i prowadzone. Oprócz doskonałego umieszczenia i pożywienia (np. widziałem całe kadzie kompotów z moreii i brzoskwiń, kukurydzy gotowanej i pieczonej, całe góry melonów i kawonów) — dostają dzieciaki ubranka letnie, bardzo gustownie i ładnie skrojone i uszyte. Wszędzie oko nauczycieli czuwa nad tą młodzieżą nawet w czasie rekreacji lub kąpieli w morzu. Choć brzeg morski jest płytki i ciągnie się na wiele metrów w głąb morza, nie wolno było dzieciom posunąć się dalej po za linję wytyczoną w morzu przez nauczycieli, którzy tam, stojąc, czuwali i uważali na kąpiące się dzieciaki. Dziatwa bułgarska, żeby nam Polakom, się przypodobać i zrobić nam uciechę, nauczyła się śpiewać nasz hymn narodowy i inne pieśni polskie i często maszerując szosą przed naszym Domem polskim, popisywali się temi śpiewami, otrzymując od nas w podziękę rzęsiste brawa i oklaski.

Bułgarzy-lekarze — znając dobrze cudowny wpływ działania promieni słonecznych, oraz morskiego powietrza nad piaszczystym brzegiem, urządzili już od lat kilku na krańcu obszernej zatoki w St. Constantinie w miejscu osłoniętem od wiatrów północnych, wśród cienistego ogrodu i flory krajów południowych, Sanatorjum państwowe dla dzieci, cierpiących na gruźlicę kości. Tam chore, biedne te dzieciaki spędzają wesoło cały dzień na świeżem powietrzu, a nawet śpią w nocy w sypialniach, urządzonych także pod gołem niebem lub odkrytych werandach. — Zwiedziłem ten zakład i lekarze, oraz lekarki z dumą i widoczną satysfakcją pokazywali mi podleczone już dzieci, osiągając w okresach kilkomiesięcznych rezultaty rekonwalscencji wprost znakomite.

Reasumując treść mych notatek z podróży i pobytu mego w lipcu b. r. w St. Constantinie, mam wrażenie, że podałem garść aktualnych i pożytecznych informacyj tym czytelnikom, którzy interesują się sprawami turystyki, którzy jeszcze w b. r. zamierzają wyjechać na południe lub planują odbycie takiej podróży w przyszłym roku, a wahają się w wyborze miejsca pobytu. Wszystkim tym, gorąco i szczerze zalecam wyjazd do Warny!

J. T.

Pierwsza poetka polska

Anna Stanisławska *)

Nakładem Akademji Umiejętności wyszła ostatnio bardzo ciekawa książka, mianowicie poemat Anny Stanisławskiej, podkomorzyny lubelskiej, która zasługuje na miano pierwszej poetki polskiej, Utwór, napisany w roku 1685 nosi — jak zwykle wówczas — obszerny tytuł: *Transakcja albo opisanie całego życia jednej sieroty przez żałobne treny*. Wydanie opracowała Ida Kotowa, żona znanego historyka kultury, a niegdyś uczenica prof. Bruchnalskiego. Książka wyszła jako Nr. 85 Bibljoteki Pisarzów Polskich (Kraków 1935).

Już tytuł poematu Stanisławskiej uderza nas świeżością: „całe życie jednej sieroty“, to jakby dzisiejsza kobieta, spowiadająca się ze swych przeżyć. Na myśl przychodzi tytuł powieści Boguszewskiej *Całe życie Sabiny*.

Stanisławska była wyjątkowo nieszczęśliwą, ale też wyjątkowo wybitną damą polską. P. Kotowa poświęciła jej w zeszłym roku niezmiernie interesujące studjum pt. *Anna Stanisławska, pierwsza autorka polska*, (Pamiętnik literacki 1934).

Coprawda tytuł jest niezupełnie ścisły, gdyż przed Stanisławską probowały już kobiety polskie parać się piórem, np. Katarzyna Siemiotkowska, niemniej na oryginalną twórczość zdobyła się rzeczywiście dopiero autorka *Transakcji*.

Stanisławska była trzykrotnie zamężna, *primo voto* Warszycka, *secundo* Oleśnicka, *tertio* Zbąska. Znakomita arystokratka, nieszczęśliwa, lecz dzielna i energiczna kobieta, okazuje się pisarką ponad miarę Polek ówczesnych. Rękopis *Transakcji*, znajdujący się obecnie w Bibljotece Narodowej w Warszawie, był już dawniej znany; odkrył go prof. A. Brückner w Bibljotece Publicznej w Petersburgu, ale dopiero dzięki rozprawce p. Kotowej i edycji poematu możemy sobie w pełni zdać sprawę z jego wartości.

W *Transakcji całego życia* uderza przedewszystkiem szczerość autorki. Przez tę właśnie szczerość poemat jest bardzo ciekawy psychologicznie. Stanisławska bowiem przechodzi duże przemiany: od biernego, zahukanego dziewczęcia do pełni świadomości swych praw, a stąd do rezygnacji — pod wpływem klęsk życiowych i do poważnych namysłów nad sensem własnych nieszczęść. Treścią wspomnień autorki są jej kolejne małżeństwa i rozmaite przesłanki psychologiczne, na których się one opierały. Stanisławska nie pisała bezpośrednio pod wpływem wydarzeń, lecz po wielu latach jej rozpamiętywania przybrały postać pamiętnika.

Matka odumarła ją w dzieciństwie. Pierwszego, narzuconego sobie męża poetka nie cierpiała i gardziła nim jako tchórzem i brzydalem. Drugi imponował jej pięknością i ogładą, ale po jego stracie nie czuła się złamana. Po raz trzeci wyszła zamąż, uporządkowawszy wprzód swoje sprawy majątkowe w sądach i zajazdach. P. Kotowa podkreśla silnie niezależny charakter Stanisławskiej: „Przy całej kobiecej naturze i kobiecym wdzięku, posiada rysy skrajnej, jakbyśmy dziś powiedzieli, emancypantki. Tyle w niej energji i praktycznej śmiałości. To nie jest słaba kobieta, szukająca w małżeństwie podpory i obrony przed trudnościami życia“.

Transakcja całego życia jest dziełem samodzielnem, pełnem inwencji i prawdy, ale nie posiada ona walorów artystycznych. Autorka nie była obdarzona talentem poetyckim, jakkolwiek umiała narysować wiele charakterystycznych obrazków rodzajowych, przed stawiających doskonale życie epoki. Mimo rym i rytm, utwór robi wrażenie prozy. Gdzieniegdzie tylko zdarzają się mocniejsze zwroty uczuciowe, np.:

Powróć jeszcze, kędy spięte
Żalem serce zostawiłeś,
A tęsknicę nabawiłeś...

Poetka umie znaleźć wyraz dla swych przeżyć, dla nadziei, wahań i smutków. Oto jak maluje niespokojne oczekiwanie na powrót trzeciego męża z pod Wiednia:

Jakiem dni wonczas miała,
Codzień we łzach opływała,
Gdym smutną twarz obaczyła,
Nieszczęście sobie wróżyła..
Wesołość niemiła była;
Sekretna mowa raniła,
Snu ledwo na oczach miała,
Smaku w potrawach nie znała.
Rezydencja niemiła,
Gdziem się kolwiek obróciła.
Lubom w pole wyjechała,
Z myślistwem ucieszyć chciała
Bardziej żalu przyczynili,
Kiedy za zwierzem gonili:
Głosy się odmienne zdały,
Jakby mi żal wróżyć miały.

Stanisławskiej obca jest wszelka kunsztowność i piękno; urok *Transakcji* płynie z jej głębokiego smutku, ze swobody i realizmu, z prawdy niezakłamanej żadną konwencją czy szablonem. Jako pierwszy świecki utwór pióra kobiecego i jako pierwsza wierszowana autobiografja, zupełnie osobista, *Transakcja* ma niepoślednie znaczenie w literaturze polskiej. Subtelna psychoanaliza przy prymitywyźmie ekspresji, plastyczne charakteryzowanie postaci i ruchliwe sceny obyczajowe — oto literackie, choć nie estetyczne, wartości poematu.

Stanisławska pisała z celem moralnym, aby ukazać niestałość szczęścia doczesnego, jednakże pesymizm jej nie jest zbytnio budujący. Autorka kończy swe treny przejmującem wyznaniem: „Teraz nie żyję, lecz jakbym umarła, bom jak pociechy, tak smutki zawarła: w zimnem grobowcu one już złożyła, ani się cieszyć, ni będę smuciła“. Tak posępnie nie przemawiała żadna inna pisarka polska, aż do czasów Kazimiery Iłłakowiczówney.

Transakcja całego życia jednej sieroty zawiera około sześciu tysięcy wierszy ośmiozgłoskowych, podzielonych nieudolnie na strofy, w których często sens się rozpływa. Na czele idzie wiersz Do czytelnika, zaczynający się od słów:

Nie dziwuj się, żem taki tytuł książce dała,
żem ją przez treny opisować chciała,
Bo życie ludzkie jednem trenem sądzą;
kto czytasz, wybacz, jeżeli pobłądzę.

Następuje 77 Trenów, składających się z 745 strof ośmiowierszowych. Pro zaiczne uwagi, robione na marginesie, ujmują zwięźle treść. Na zakończenie znowu wiersz Do czytelnika, tchnący melancholją, jak cały poemat.

Edytorka dostosowała tkest *Transakcji* do wymagań akademickiej Bibljoteki Pisarzów Polskich. Zachowując właściwości języka Stanisławskiej, p. Kotowa nie powtarza jednak drobnych cech gwarowych, których autorka nie przestrzegała konsekwentnie; pisownię upraszcza i przystosowuje do zasad dzisiejszych, oczywiste błędy pisowni poprawia. Na końcu znajdujemy objaśnienia rzeczowe. — Wydanie zdobi reprodukcja portretu Stanisławskiej, odkrytego przez ks. dr. L. Zalewskiego, na plebanji w Dysie koło Lublina. Poza tem zreprodukowano autografy poetki, list i kartę z *Transakcji*.

Bogate zasoby literatury staropolskiej, coraz to nowe dzieła i nowe horyzonty przed nami odsłaniają. Po wydaniu *Oblężenia Jasnej Góry* przez J. Czubka, śląskiej *Officina Ferraria* Rozdzieńskiego przez R. Pollaka — poemat Stanisławskiej jest już trzecią w ostatnich latach pozycją o wybitnem znaczeniu. Wszystkie wymienione dzieła pochodzą z wieku XVII, który pozostał dotąd skarbnicą niewyczerpanych odkryć i niespodzianek literackich.

Simplex

*) *Daty urodzenia i śmierci nie są dokładnie znane. Stanisławska przyszła na świat między r. 1651 a 1654, zmarła między październikiem 1700 a czerwcem 1701 roku.*

Cygara, papierosy i tytoń

Statystyka mówi, że dzienna konsumcja papierosów na całej kuli ziemskiej wyraża się olbrzymią cyfrą 275 miljonów sztuk.

Papierosy odnoszą zdecydowane zwycięstwo nad cygarami, — co daje się zaobserwować zwłaszcza z czasów wielkiej wojny.

Przed stu laty jeszcze było inaczej! Cygaro zdobyło w tryumfalnym pochodzie cały świat, — a moda ta miała swój początek nad Sekwaną. Pierwsze cygara pojawiły się w Paryżu w roku 1814, — a cena ich była stosunkowo bardzo wysoka: pół franka sztuka. Z miejsca też wyrugowały cygara popularną krótką fajeczkę, nazywaną „brule - guele“.

Ówczesny „arbiter elegantiae“, Roger de Beauvoir, zadekretował bezapelacyjnie, że

„cygaro jest najpiękniejszą ozdobą dandysa, jest tą pieczęcią, po której rozpoznajc się prawdziwego eleganta...“

Moda przyjęła się szybko i przetrwała wszystkie przewroty polityczne.

Najlepsze i najszlachetniejsze tytonie hoduje się na Kubie. Słynie z nich zwłaszcza jeden gatunek, zwany *Vuelta Abajo*. Na całej wyspie istnieje około 8.500 plantacyj tytoniowych, których zbiór szacowany był przed wojną na około miljon złotych rocznie.

O aromatyczności i smaku tytoniu decyduje zawartość kwasów cytrynowego i jabłkowego, lotnych olejków aromatycznych i nikotyny.

Przyjmując roczną produkcję tytoniu na całej kuli ziemskiej na 740 miljonów kilogramów, a zawartość nikotyny tylko na 2 procent, — dochodzimy do olbrzymiej cyfry 14.8 miljonów kg. nikotyny, uzyskiwanej w ciągu roku.

Z ilości tej z pewnością najmniej 2/3 zostaje zniszczone i usunięte z tytoniu podczas fabrykacji, — zawsze jednak pozostaje parę miljonów kg. nikotyny, wchłanianej z dymem cygara czy papierosa przez palaczy.

Na szczęście, organizm ludzki umie bardzo szybko przyzwyczaić się do tej trucizny. Pamiętać się jednak powinno o jednem: aby palić możliwie pomału. Według badań lekarskich bowiem przy powolnem paleniu dym zawiera zaledwie 1—4 procent nikotyny, podczas gdy przy paleniu forsownem, szybkiem, procent nikotyny w dymie dochodzi od 30 do 50 procent.

I palić powinno się tytoń możliwie suchy.

Migawki z wielkich miast

RZYM.

Dojeżdża się do Rzymu nieco podobnie jak do Warszawy: obydwie stolice — jedne z najstarszych i jedna z najmłodszych — leżą jakby na pustyni. Nędzna, pożółkła, spalona słońcem Kampanja rzymska, przypomina piachy mazowieckie; tu i tam brak świeżej zieleni roślin, tu i tam brak życia wygnanego przez nudę pustynną.

Ale już u wstępu Rzym przemawia potęgą historji: od morza biegną do wiecznego miasta długie, monotonne szkielety akwaduktów. Ich szlachetne łuki i czerwony koloryt, to dwa zasadnicze elementy powtarzające się w architekturze Rzymu starożytnego, który tworzy pierwszą warstwę dzisiejszej stolicy papiestwa i Włoch królewskich. Oglądane pod zachód słońca ruiny pałacu Cezarów na Palatynie, Kolosseum i inne cuda świata antycznego wywołują niezapomniany efekt smukłych arkad i rumianej cegły, po której gdzieniegdzie pną się bluszcze.

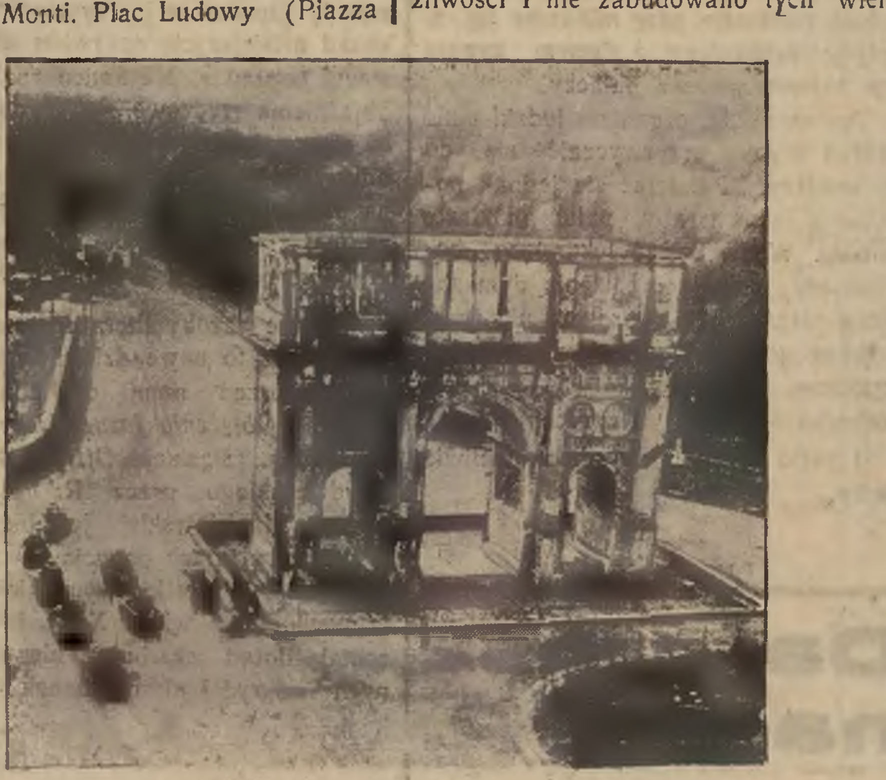
Drugą warstwą miasta jest Rzym papieski, odcinający się od czerwieni ruin starożytnych białą smugą marmurów lśniących na bazylice Piotrowej, na pałacach watykańskich i na willach znakomitych patrycjuszy i nepotów. Rozmach i bogactwo Renesansu święci triumfy w kolosalnych rozmiarach bazyliki św. Piotra symbolizującej ziemską moc Kościoła. Piękno monumentalności i harmonji przejmuje do głębi w pałacu Farnese i na Kapitolu.

Rzym królewski z ostatnich kilkudziesięciu lat nie stworzył nowych czarów kamiennych. Konny pomnik Wiktora Emanuela, tzw. *Cavallo d'oro*, błyszczący złoceniami i jasnością marmurów jest raczej brzydki w swym ciężkim ogromie i przepychu. Dopiero epoka faszystowska czyli „trzeci Rzym" (Terza Roma) nawiązuje do piękna dawnych stuleci, odsłaniając stare, zabudowane lichemi czynszówkami place i pałace i wznosząc nowe dzieła, jak Forum Mussoliniego.

Przed zwiedzającymi Rzym otwierają się co krok wspaniałe perspektywy siedmiu pagórków, na których rozsiadło się wieczne miasto. Główne place rzymskie piętrzą się ku górze terenem i architekturą. Z Placu Weneckiego wystrzela w górę *Cavallo d'oro* i Kapitol. Z Placu Hiszpańskiego wybiegają olbrzymie schody, w które mistrz Bernini ujął pagórek z kościołem Trinità dei Monti. Plac Ludowy (Piazza del Popolo) uchodzi we wzniesienie parku na Monte Pincio.

Połączone ogrody Pincio i Borghese są najpiękniejszym chyba parkiem świata, w którym grupy drzew oleandrów, migdałów, pinij, cyprysów i wiecznie zielonych dębów tworzą przepyszną całość z willami Borghese i Medici, z kopułami świątyń i pałaców widnych z belwederu, skąd tysiące ludzi przypatruje się codziennie miastu i światu.

Mam jeszcze w oczach Rzym przepołowiony Tybrem, obrośnięty bluszczem, opasany błękitem glicynij i gronami złocistej mimozy.



Słynny łuk Tytusa w Rzymie.

PARYŻ

Wygląd zewnętrzny poszczególnych okręgów Paryża jest bardzo rozmaity.



Niknący Paryż: Najstarsza w stolicy ulica Wenecka, która ma ulec przebudowaniu.

Gdy na wyspie św. Ludwika i w Quartier Latin przeważają stare, zniszczone domy i wąskie ulice to po prawym brzegu Sekwany rozpierają się wspaniałe budowle, wielomorgowe place i nowoczesne szerokie bulwary. Aż dziw że zdobyto się na heroizm wstrzemięźliwości i nie zabudowano tych wielkich wolnych przestrzeni w środku miasta.

Sekwaną płynie skuta, jak więzień, w szarzejące długie mury bulwarów, obramowana drzewami, które zdają się trzymać wieczystą straż. Nocą miljony świateł odbija się w rzece migocącej różnokolorowo. Na północnym brzegu Sekwany ciągnie się oryginalna panorama wieków historji francuskiej. W prostej linji następują po sobie kolejno, jakby czas wyznaczył zgóry każdej epoce właściwe miejsce: Luwr, ogrody tuileryjskie, Plac Zgody, pamiętający ścięcie Ludwika XVI, a dalej Pola Elizejskie zakończone Łukiem Napoleońskim, pod którym dziś spoczywa glorja Nieznanego Żołnierza.

W Paryżu jest parę miast i parę światów. Porządek i jakiś dobrowolny system panuje w rozmieszczeniu i w zajęciach ludności, która uczy się i pracuje naukowo w Quartier Latin, maluje i rzeźbi na Montparnasee, spaceruje od Tuilerjów do Lasku Bulońskiego, bawi się na Montmartre a modli się w St. Sulpice, twierdzy katolicyzmu i w arystokratycznej katedrze St Germain des Prés. Jednym z uroków Paryża są ładne rzeczy — spotykane przy byle okoliczności. Oto np. latarnie uliczne. Dzięki najrozmaitszym kształtom, rozmiarom i ozdobom są one trwałą dekoracją miasta. Jedne wysokie, strzeliste, inne o grubszych łodygach, niskie, masywne, tkwią w chodnikach rozparte na szerokich podstawach. Na balustradach mostów nad Sekwaną są krótkie, mocne jak pniaki; wzdłuż obu skrzydeł nowszej części Luwru stoją gęste szpalery smukłych latarń, które zdają się oczekiwać — niby dworzanie — zjawienia majestatu. Na Placu Zgody wyrasta poprostu las latarniany od szczupłych trzcin do wieloramiennych słupów, potężnych jak dęby. Wieczorem światło zalewa cały Plac i płynie ogromną rzeką przez Pola Elizejskie aż hen, do stóp majaczącego w dali Łuku Zwycięstwa.

MONACHJUM

Nigdzie niema tak pięknej kolekcji fałszywych antyków architektonicznych, jak w Monachjum. Imitacje stylów i poszczególnych pomników budownictwa greckiego, rzymskiego i włoskiego przytłaczają wprost stolicę Bawarji. Wittelsbachowie, zwłaszcza Ludwik I, założyciel współczesnego Monachjum, wydali mnóstwo pieniędzy na ozdobienie swej siedziby tylko zabrakło im i ich pomocnikom inwencji i oryginalności. Przejeżdżając szerokie, czyściutkie ulice miasta co chwila natrafia się na budowle skopiowane ze świątyń i propylejów ateńskich lub z bazylik włoskich. Siegestor jest przeróbką rzymskiego łuku Tytusa, a Residenzpalast to liche naśladownictwo Palazzo Pitti w Florencji; skopiowano także sławną florencką Loggia dei Lanzi.

Budownictwo starożytne i renesansowe wpłynęło na charakter wszystkich miast europejskich, ale nigdzie niewolnicze naśladowanie nie wycisnęło tak dominującego piętna, jak w Monachjum. Nie może się to naprawdę podobać, każdy woli maleńskie i obdrapane, ale autentyczne w swej architekturze miasteczko włoskie, niż błyszczące, zamożne imitacje monachijskie. Również pseudogotyki jak np. ratusz, uderzają bogactwem a nie smakiem artystycznym. Zamiłowanie do „glanzu" wzięło górę nad głębszem poczuciem piękna, to też niemal wszystkie prawdziwe zabytki monachijskie odświeżono tak dokładnie, że trudno się w nich dopatrzyć dawnej postaci. Korzystnie odbija od pokostu nowizny surowa średniowieczna Sendlingertor.

O uroku Monachjum nie stanowi jego architektura. Miasto nowożytne doskonale i celowo rozbudowane, pełne dalekich perspektyw, jakby wzorowanych na bulwarach i *avenues* paryskich, przystrojone ogrodami, wśród których szczególnie miłe wrażenie robią t. zw. Maximiliansanlagen, położone nad „zieloną" Izarą. Z rzeźb monumentalnych można pominąć milczeniem banalne pomniki królów bawarskich (jeden bardzo poprawny Thorwaldsena); prawdziwie artystyczna jest natomiast fontanna na Lenbachplatzu, dzieło znanego rzeźbiarza i teoretyka sztuki, Adolfa Hildebranda, która przedstawia, zapomocą symbolicznych figur, potęgę wody — niszczącą i budującą.

NORYMBERGA

Najpiękniejszem miastem Niemiec jest Norymberga. Oryginalna architektura germańskiego gotyku nadaje ojczyźnie Dürera, Adama Krafta, Wita Stwosza i Hansa Sachsa, swoistego charakteru, który nie uległ zniszczeniu pomimo rozrostu nowoczesnego przemysłu. Zwłaszcza średniowieczne mury miejskie, baszty i szeroka fosa, otaczające stare miasto, tworzą jedyną w swoim rodzaju ozdobę Norymbergi; wspaniały widok otwiera się od murów ku górze, uwieńczonej zamkiem pamiętającym Fryderyka Barbarossę.

Osobliwem znamieniem budownictwa norymberskiego są niezmiernie wysokie spadziste dachy, częstokroć wyższe niż dom, który kryją. Stary rynek z cenną gotycką studnią, należy do najładniejszych placów miejskich w Europie.

Rzeka Pegnitz przecina miasto, które schodzi w nią bezpośrednio tak jak pałace weneckie schodzą w kanały płynące wśród lagun. Dzielnice położone nad Pegnica nazywają tu chętnie „Klein - Venedig".

W Norymberdze widać historję, sztukę i tradycję germańską.

Mieczysław P-ski

ŚWIAT KOBIECY

Ploteczki o modzie

— Wspominaliśmy już o najnowszych paskach, odznaczających się niezwykłą szerokością. Moda ta utrzymuje się nadal, posuwając się aż do ekscentryczności: paski szerokości dwóch dłoni! Przyszła ona z Ameryki, a wzoruje się poniekąd na szerokich pasach Kowboji.

Polecić ją można jednak tylko kobietom wysokim i smukłym, o zgrabnej bardzo figurze.

— Modne są naszyjniki z galalitu, skóry i burzsztynu.

— Kostjumy jesienne, z lekkiej wełny, przybiera się futerkiem, — i to w miejscach, gdzie najmniej grzeje, jak np. u rękawów.

— Nowością jest kombinowanie identycznego materjału, ale w dwóch różnych kolorach, przy kostjumach. A więc np. spódniczka w kolorze beige, żakiet w kolorze zielonym.

— Sandały można jeszcze nosić w mieście, ale tylko do lekkiej sukienki letniej bez rękawów. Pozatem nosi się pantofelki ze skóry jaszczurki, giemzy lub renifera. Te ostatnie zwłaszcza są bardzo modne.

— Rękawiczki ile możności z tego samego materjału co torebka, pasek i pantofelki. I tutaj renifer wiedzie prym.

Pozatem bardzo miła i ładna kombinacja: na czarnej skórce białe groszki — i odwrotnie .

— Barwne chustki bawełniane lub jedwabne, o wymiarach około 80 ctm. w kwadrat, stanowią tanie a oryginalne uzupełnienie naszej garderoby. Można je zrobić w domu, z jakiej resztki, przyozdobić frendzlami i dużym monogramem. Nosi się je owinięte fantazyjnie dokoła szyji, mogą jednak na letnisku służyć i jako okrycie głowy.

— Biała lub jasna bluzka z crepe-satin, z błyszczącego lub matowego jedwabiu, do ciemnej spódniczki wygląda zawsze bardzo dystyngowanie. Można w niej iść nawet na elegancki dancing. Rękawy powinny być bardzo szerokie, zwężone i spięte u nasady dłoni.

Symfonja jesiennych kolorów

Znika stopniowo przepych różnobarwnych kwiatów i soczysta zieleń liści. Rozpięte na murach dzikie wino zaczyna stroić się w całą gamę czerwonych odcieni, a na drzewach pojawiają się pierwsze zwiędłe, uschłe liście.

Moda przystosowuje się do tych przemian, forytując na ten okres przejściowy kolory rdzawe w rozmaitych odcieniach — oraz zielone, te ostatnie często z delikatnym żółtawym nalotem.

Ale nie na długo. Trzeba nam kolorów żywszych, weselszych. A jest ich cały legjon. Modne będą zatem materjały w intensywnym kolorze ambry i bursztynu, — dalej popielate, wpadające lekko w kolor błękitny, lub o srebrzystym połysku.

Nowością jest kolor nazywany „French Violet", który jak się zdaje w nadchodzącym sezonie grać będzie bardzo ważną rolę.

Wreszcie zawsze wdzięczny i elegancki kolor błękitny — jasny i ciemniejszy — utrzymuje się i nadal na swej mocnej pozycji.

Większe zmiany zapowiadają się w sukniach wieczorowych, w których mają przyjść do głosu wpływy egzotyczne: perskie, indyjskie i inne. W ślad za tem pojawiają się nowe kombinacje barw, przypominające „Baśnie tysiąca i jednej nocy": złoto Aladyna, zieleń Ali-Baby, czerwień sułtańska, błękit bagdadzki, purpura hinduska...

W gruncie rzeczy — nic nowego. Zmieniły się tylko nazwy, — no i oczywiście zmienią się... ceny.

Grzywki, loczki, warkocze...

Moda długich włosów jest obecnie bardzo na miejscu i w stylu. Ale trzeba umieć odpowiednio się uczesać. Modny jest równy, klasyczny przedział, który nadaje rysom wyraz pogody i kobiecości, aczkolwiek nieco surowej.

Naogół modne są fryzury skromne, nawet popołudniowa tualeta wymaga prostego uczesania. Małe grzywki, loczki na skroniach — oto wszystko, na co się można zdobyć. Przesadnie wymyślne uczesanie nie robi dobrego wrażenia.

Dopiero wieczorem fryzjer ma pole do prawdziwego popisu. Tu może on puścić wodze swej fantazji. Najcenniejszą zaletą fryzury wieczorowej jest jej pomysłowość i oryginalność. Najbardziej odpowiednie jest uczesanie w loki. Mogą one pokrywać całą głowę, lub skupiać się na karku, mogą się piętrzyć nad czołem. Nawrót do stylu biedermayerowskiego faworyzuje warkocze, które nosimy gładko nad czołem Do warkoczy nosimy ozdobne grzebienie i szpilki.

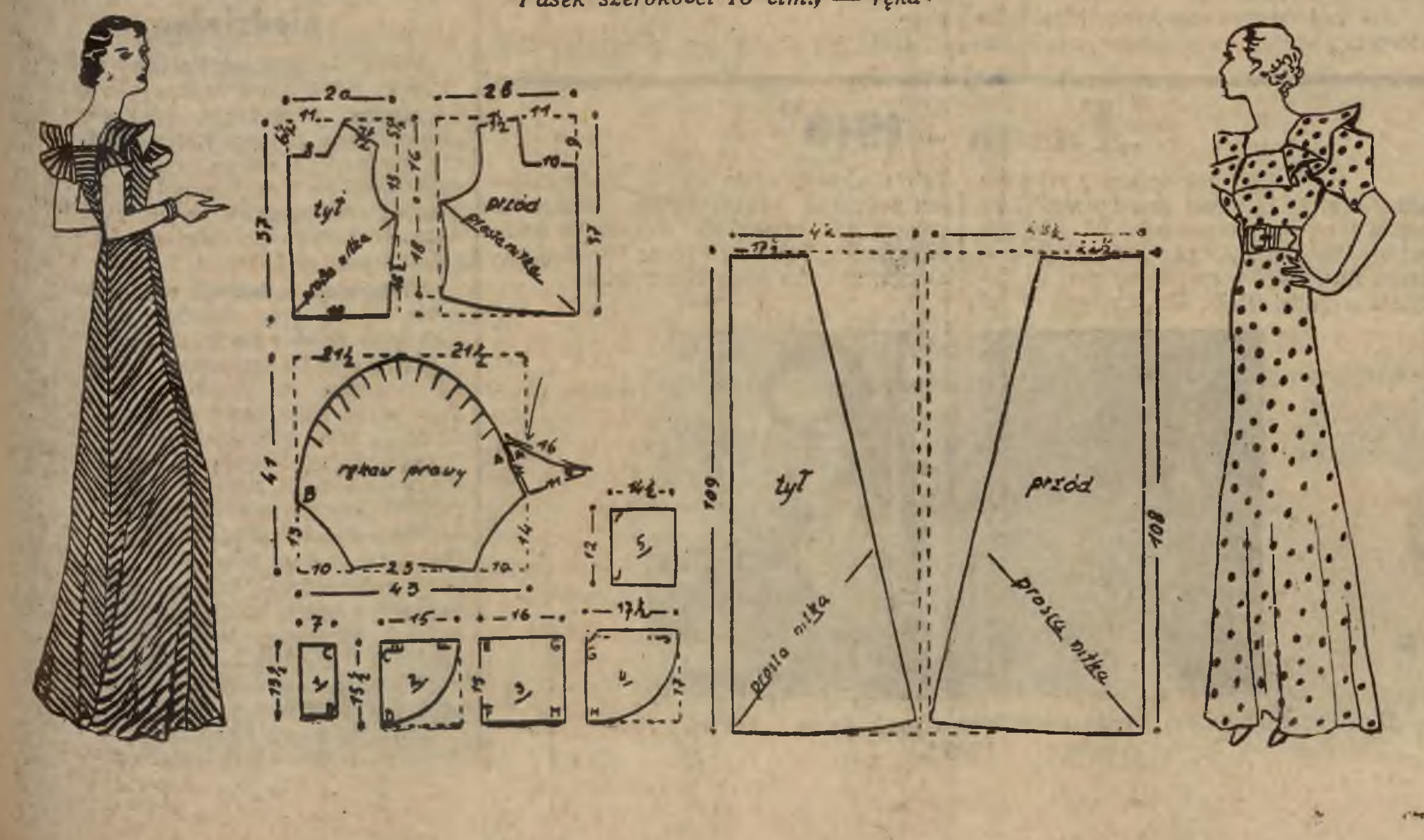
Miłą jest moda ozdabiania włosów kwiatami. Dobór w tym wypadku jest dowolny: mogą to być girlandy kwiatów, sztucznych lub żywych, może być jeden duży kwiat i wreszcie stylizowane liście srebrne lub złocone.

Elegancka suknia wieczorowa

Dajemy dziś model oryginalnej i ładnej sukienki, odpowiedniej zarówno na popołudniowe wizyty, jak i na zabawy i zebrania w miejszem kółku.

Sukienka skromna, bez żadnego przybrania, — cała jej wartość polega na odpowiednio dobranym materjale, którym może być zarówno organdi, jak płócienko czy strojniejsza lekka tafta. Musi być bardzo starannie wykończona i zawsze wyglądać bardzo świeżo, dobrze odprasowana.

Pasek szerokości 15 ctm., — rękawy dowoli, półdługie, lub zupełnie krótkie. Potrzeba na całość 5—6 mtr. materjału, zależnie od szerokości. Krajać skośnie. Kołnierz zeszywać z poszczególnych części, orjentując się wedle liter zaznaczonych na kroju.



Poradnik dla gosposi

SAŁATA Z KALAFJORÓW, GROSZKU I FASOLKI.

Ugotować w osolonej wodzie kalafjor oddzielnie pół litra młodej fasolki i pół litra zielonego groszku; po ugotowaniu kalafjor podzielić na cząstki, ułożyć na salaterce, wokoło pokłaść grupami zielony groszek i fasolkę, skropić dobrze zaprawą z oliwy i cytryny, którą należy przyrządzić w następujący sposób: 3 łyżki oliwy, sok z pół cytryny, pół łyżki soli, pół łyżeczki cukru, dwie łyżki wody rozkłócić dokładnie. Oblaną tą przyprawą sałatę posypać młodym szczypiórkiem obramować zieleninką.

OGÓRKOWA SAŁATA Z POMIDORAMI.

Obrać pół kilo ogórków, pokrajać w cienkie plasterki, również cienko pokroić pół kg. pomidorów, posolić, polać trzema łyżkami świeżej oliwy, rozmieszanej z sokiem z pół cytryny i odrobiną cukru, posypać posiekanym koperkiem cokolwiek opieprzyć.

POTRAWKA Z KURCZĄT W ZIELONYM SOSIE

Rozkrojoną na cztery części parę kurcząt ułożyć w rondlu, dodać jarzyn jak do rosołu, kilka drobnych całych pieczarek, wątróbki i żołądki z kurcząt; nalać wody tak, aby przykryła kurczęta i gotować je aż zmiękną. Zrobić zaprawę z łyżki masła i łyżki mąki, dodać kilka kropel soku wyciśniętego z garści szczypiórku, aby sos był jasnozielonego koloru, wrzucić drobno posiekanego koperku i zielonej pietruszki, soku z pół cytryny i wszystko razem zagotować.

Oddzielnie ugotować na sypko ćwierć kg. ryżu, obłożyć nim wyłożone na półmisek kurczęta i oblać sosem.

KOTLETY BARANIE Z RYŻEM I POMIDORAMI

Ukroić dość grubo kotlety z kostką, pozostawiając przy nich tłuszcz, ubić je lekko i spłaszczyć. Przed samem smażeniem posolić i, zmoczywszy każdy w maśle, kłaść na roztopiony tłuszcz. Aby kotlety były wewnątrz różowe i pulchne, trzeba je smażyć na mocnym ogniu nie dłużej jak cztery minuty, a gdy się z jednej strony przyrumienią szybko na drugą obrócić.

Do tych kotletów przygotować ryż w następujący sposób: Zagotować na wodzie ćwierć kwarty ryżu, odlać wodę gorącą i przelać zimną. Zasmażyć troszkę cebuli na łyżce masła, włożyć ryż, zalać rosołem, by go przykryło, wsypać pół łyżeczki papryki, posolić, stawiając na ogniu na pół godziny. Wkońcu kiedy jest ugotowany, wlać ćwierć funtową puszeczkę pomidorów. Ryż ułożyć na środek półmiska, po wierzchu posypać go parmezanem, wokoło ułożyć smażone kotlety, polać buljonem i podać.

SZTUKA MIĘSA Z OZORU WOŁOWEGO

Ugotować świeży ozór. Gdy już miękki, obciągać go ze skórki, pokrajać w zraziki, poczem zasmażyć w maśle kilka drobno usiekanych cebuli i na tem maśle obrunacić kawałki ozora. Przełożyć następnie zraziki serdelowem masłem i polać sosem buljonowym, zaprawionym zasmażką z masła i mąki, zakwaszanym nieco cytryną.

OBWARZANECZKI PTYSIOWE

Proporcja: 2½ szklanki wody, 1 szklanka masła, 3 szklanki mąki, 6 jaj, 2 łyżki cukru, migdały.

Zagotować wodę z masłem, wsypać (na ogniu) osianą mąkę mieszając szybko i zręcznie, aby się mąka nie zbiła w grudki. Podgrzewać dalej ciasto ciągle mieszając, dopóki nie zacznie odstawać od rondla. Wtedy zdjąć ciasto z blachy, wbijać po jednem jajku i ucierać wałkiem drewnianym. Gotowe ciasto postawić w zimnie, gdy wystygnie i stężeje, formować na stolnicy wałeczki, tarzać je w cukrze krysztale i drobno siekanych migdałach, formować obwarzaneczki różnych kształtów, układać na blasze. Piec w dobrze gorącym piecu na wyraźnie rumiany kolor, uważając, aby się nie rumieniły zanadto od spodu.

BUDYŃ Z SERA

50 dkg odciśniętego sera, 12 dkg masła, 20 dkg mąki, ¼ l. mleka, 4 jaja, szczypiórek, sól, 4 dkg masła, 1 dkg tartej bułki.

Ser oczyścić, przetrzeć. Stopić masło zmieszać z mąką, zalać gorącem mlekiem, rozbijając, aby masło nie miało grudek. Podgrzewać na ogniu, mieszając tak długo aż zacznie odstawać od rondla. Ciasto przełożyć do miski. Wbijać po 1 żółtku, mieszając, dodać soli, szczypiórku. Ubić pianę z 4 białek, wymieszać z ciastem i serem. Masę wyłożyć do wysmarowanej formy budyniowej, ugotować. Gdy zacznie odstawać od formy, wyłożyć i polać roztopionem masłem z bułeczką.

Muzyka w radjo

Zagadnienia radjofonji w Polsce budzą już od dłuższego czasu bardzo żywe zainteresowanie opinji publicznej. Zabierają głos w tych sprawach publicznie nietylko fachowcy i krytycy, ale i szerokie koła samych radjoabonentów rzucających swe uwagi, projekty i opinje.

Zainteresowanie to jest u nas większe niż w jakimkolwiek innym kraju europejskim. A dowodzi ono, że u nas na tem polu coś się naprawdę dzieje, że dokonuje się jakaś ważna przemiana.

Objaw to pocieszający. I dyrekcja P. R. z pewnością z równem zainteresowaniem czyta i studjuje opinje pochlebne o jej dotychczasowej działalności, jak i głosy uzasadnionej a objektywnej krytyki.

O jednym z tych ostatnich chcę dziś obszerniej pomówić. Jest to artykuł R. Świętochowskiego *„Surogaty radjowe"* zamieszczony w nr. 218 „Kurjera Warszawskiego".

Autor poddaje wręcz druzgocącej krytyce działalność P. R., charakteryzującą się

„dążeniem do uniwersalizmu".

„Radjo — zdaniem autora — daje surogaty prasy, teatru, koncertów, odczytów... daje słabe odbicia, ułomne naśladownictwa".

W szczególności występuje autor przeciw *„nieudolnej rywalizacji"* w dziedzinie muzyki, wyrażając obawę, że rywalizacja ta może zahamować na długie lata rozwój muzyki w miastach

A tak się złożyło dziwnie, że artykuł ten pojawił się właśnie w momencie, gdy Wydział Muzyczny P. R. prowadził rokowania z Warszawską Filharmonją w sprawie ograniczenia tranmisyj koncertów z Filharmonji warszawskiej na korzyść podobnych instytucyj w Krakowie, Lwowie, Łodzi, Poznaniu, Katowicach i Wilnie.

Rokowania, w których Filharmonja zajęła stanowisko zupełnie nieustępliwe!

Otóż mam wrażenie, że w tym wypadku autor artykułu rozpatrywał tę sprawę zanadto może pod kątem widzenia warszawskiego podwórka.

Filharmonja warszawska na projektowanej inowacji ucierpi finansowo: w sezonie 1934-35 otrzymała od P. R. za 64 koncerty przeszło 111.000 złotych, — na sezon najbliższy preliminuje P. R. na ten sam cel tylko 52 tys. zł., a różnica (nawet z pewną nadwyżką) rozdzielona zostanie na inne, wyżej wspomniane miasta.

Czy to jednak można nazwać „rywalizacją" i hamowaniem rozwoju muzyki na długie lata?

Przecież jest rzeczą notorycznie znaną, że zespoły orkiestralne na prowincji zaledwie nędznie wegetują, pozbawione subwencyj rządowych i samorządowych, — o ile nie były zmuszone zlikwidować zupełnie swą działalność.

Nadawanie zatem przez radjo co miesiąc czy dwa audycyj symfonicznych, — to pierwszy, wielki krok na drodze ku odrodzeniu ruchu symfonicznego w Polsce, — krok, mający doniosłe znaczenie kulturalne.

* * *

Ale p. Świętochowski ma w zanadrzu i inne jeszcze argumenty. Jego zdaniem

„z powodu niedoskonałości dzisiejszej techniki radjo — mimo sumiennych wysiłków i dobrej woli — musi dać tandetę..."

I ta „tandeta" formuje gusty, wypiera istotne wartości kulturalne. Jakież na to byłoby lekarstwo? Oto

„radjo powinnoby materjalnie przyczyniać się do organizacji koncertów bezpośrednich, powinnoby powiedzieć prawdę słuchaczom, że są one stokroć piękniejsze od najlepszej transmisji. Wtedy dopiero rozkwitłaby u źródła muzyka polska, a radjo miałoby coraz lepsze programy i coraz więcej słuchaczów".

Nie bardzo to, przyznam się, rozumiem. Bo ów słuchacz, któremu same radjo wbijałoby systematycznie w głowę, że najlepsza nawet transmisja nie wytrzymuje porównania z „bezpośrednim" (!) koncertem, — chyba odrzeknie się raz na zawsze słuchania koncertów z głośnika, uważając je — i słusznie — za nieudolny „surogat"!

* * *

Przytem, trzebaby znaleźć tę publiczność, któraby zechciała zapełniać sale koncertowe i płacić wysokie stosunkowo ceny biletów wstępu. Bo przecież tylko w tym wypadku zespoły symfoniczne mogłyby wegetować.

Otóż p. Świętochowski — nie wiem czy słusznie — sam wytyka naszej publiczności *„brak zamiłowania do muzyki"*, z czego wniosek, że na pełne sale koncertowe nie bardzo można liczyć.

I nie decyduje tu „brak zamiłowań do muzyki", lecz ogólne zubożenie społeczeństwa, które nie może sobie pozwolić na tę kulturalną rozrywkę.

Przypomnę tu opinję znakomitego kompozytora włoskiego O. Respighi'ego, który w wywiadzie dziennikarskim niedawno oświadczył, że

„kryzys sztuki muzycznej jest przedewszystkiem kryzysem finansowym".

Tego faktu nic nie zmieni — i z tem musimy się liczyć.

A zatem — „surogaty" muzyki? Sądzę, że z dwojga złego zawsze lepiej wybrać mniejsze. Prawda, koncert transmitowany przez radjo pozostanie zawsze i wszędzie (nietylko u nas, w Polsce) tylko surogatem żywej, bezpośredniej muzyki. Ale słucha go dziesiątki tysięcy ludzi, którzy na salę koncertową i tak nigdyby nie poszli, bo albo są na to za biedni, — albo koncertów takich w jego mieście nikt nigdy nie organizuje.

Czy więc „surogat" taki nie przyczynia się mimo wszystko do krzewienia i pogłębienia kultury muzycznej wśród najszerszych warstw społeczeństwa? Czy można mówić tu o „nieudolnej", a nieistniejącej rywalizacji?

* * *

A już w żadnym razie nie można zgodzić się z konkluzją rzeczonego artykułu, streszczającą się w tem, że

„głośnik dudni od rana do nocy", że dyrekcja Polskiego Radja

„jakgdyby dążyła do tego, żeby mieszkaniec Polesia dostał wszystkie surogaty wielkomiejskiego życia... żeby nie pragnął usłyszeć prawdziwego koncertu..."

Jest w takiem ujęciu sprawy spora doza optymizmu. Daj nam Boże doczekać tej chwili, kiedy poczciwy Poleszuk nie będzie miał innych zmartwień i pragnień, jak... posłuchać prawdziwego koncertu, zamienić swe łykowe krypcie na eleganckie lakierki a zgrzebną koszulę na lśniący sztywny gors, wsiąść do sleepingu i jechać do Warszawy, by posłuchać tam dziewiątej symfonji Beethovena, naturalnie w wykonaniu Filharmonji.

Będzie to moment zaiste niezwykły — bo podobnych „pragnień" nie odczuwa dotąd ani wieśniak z Westfalji czy Saksonji, ani rybak normandzki czy bretoński.

Może dojdzie kiedyś i do tego... narazie jednak liczyć się trzeba z rzeczywistością. A jej nakazem jest krzewić kulturę w granicach możliwości. Temu celowi służy Polskie Radjo — dlatego to na zapadłem Polesiu głośniki „dudnią od rana do nocy".

(Lucy).

Niepotrzebne sensacje

Tydzień temu na łamach Kurjera poruszyłam sprawę przeładowania programów radjowych dowcipami o charakterze żydowskim. Że istotnie szmoncesy już n i e „b i o r ą" i że słusznie wytknęłam Polskiemu Radju zbyt częste raczenie nas tego rodzaju humorem, potwierdzili to s a m i r a d j o s ł u c h a c z e, c z y t e l n i c y K u r j e r a.

Dziś chcę napisać o jeszcze jednej dosyć ważnej, a niedocenianej sprawie. Chodzi mi mianowicie o to, iż pewnym audycjom nadaje się całkiem bezpotrzebnie posmak grozy, **sensacji**, niezdrowego dreszczyka i emocji. Przypominają one swym charakterem artykuły w pięciogroszówkach, artykuły o czerwonych, krzyczących nagłówkach, z całą masą szczegółów i szczególików" z „krwawego morderstwa w Tulonie" lub „wstrząsającej zbrodni w Nowym Jorku", czy „potwornej zemsty" dokonanej w Rio Janeiro.

Na świecie dzieje się wiele nieprawości, łajdactw i zbrodni, to prawda. Ale czy równocześnie nie dzieją się inne, **znacznie piękniejsze** i bardziej zasługujące na naszą uwagę rzeczy? Czy każdy jest ciekaw, jak w Chicago zamordowano murzynkę, a w Hong-Kong Anglika? Czy wszyscy chcemy wiedzieć, ile osób zabił, a ile tylko ranił uciekający przed policją morderca z Detroit? Zdaje mi się, a nawet jestem pewna, że ludzie interesujący się temi szczegółami, zaspokoją swą ciekawość przez kupno wspomnianych pięciogroszówek, ociekających wprost od najdokładniejszych opisów wszelkich możliwych i niemożliwych przestępstw. W ten sposób uczynią zadość swym wymaganiom i potrzebom kulturalnym.

Ale czy można zmuszać ludzi, dla których podobne wydarzenia są najzupełniej nieciekawe, do wysłuchiwania relacyj o nich? Mam tu na myśli radjowy dziennik, w którym, niestety, dość często trafiają się tytuły, podobne do wyżej cytowanych. Po nich, w paru, **na szczęście krótkich, zdaniach**, miły głos speakerki recytuje gotowy tekst i nolens volens dowiadujemy się o najświeższej zbrodni ekscytującej umysły ludności jakiegoś amerykańskiego, czy nawet meksykańskiego miasta. Dla poszukiwaczy sensacji to — **za mało**, dla jej wrogów — **za dużo!** Jeśli to dziennik poranny przynosi takie wiadomości, z niesmakiem ruszamy do całodziennej pracy; a jeśli wieczorny, oburzamy się nie na żarty.

Czas-by przeto było poddać kontroli zasady, na jakich konstruowany jest dziennik radiowy. Czy ma nastąpić obniżenie poziomu do brukowej tandety, czy też **zupełne wyeliminowanie** pierwiastków sensecji i wrażeń nie mających wiele wspólnego już nie z estetyką, ale i kulturą czy dobrym smakiem.

Nie tylko jednak o tę jedną audycję mi chodzi. Parę dni temu słuchałam pewnego **reportażu** z miasta Ameryki Półn., z miasta zbrodni i gangsterów. Otóż autor tej audycji — **„rasowy reporter"**, jak gdzieś o nim napisano — finezją i drobiazgowością opisu plamy krwi zamordowanej kobiety mógłby konkurować z niejednem pisemkiem, obliczonem na smak i pokup tylko pewnego gatunku czytelników. Starał się barwnie odmalować nietylko kolor, wygląd i wielkość tej plamy, ale prawie że jej woń, smak i ciężar gatunkowy. A i **„tani perfum"**, o którego zapachu wspominał m. in. autor, wytwarzał wokół całej tej audycji specyficzną atmosferę.

Dość już chyba tych ponurości. Zajmijmy się czemś weselszem. A nawet **naprawdę wesołem**, tak, jak wesołą była audycja p. t. **„Na radjowej plaży"**, nadana ze Lwowa na wszystkie rozgłośnie. Swoisty, radjowy humor, satyryczny rzut oka z figlarnem mrugnięciem w stronę słuchaczy **„skaptowało"** wszystkich bez wyjątku. W audycjach słowno-muzycznych Lwów ma wyjątkowo **szczęśliwą rękę:** udają mu się doskonale prawie wszystkie bez wyjątku. Tak było też i tym razem.

Natomiast wcale się nie zachwycałam 108-mą Wesołą Falą p. t. **„Sezon w Kobyłozdrójkach"**. Poza jedyną naprawdę kapitalną piosenką „Lecz cóż", nie było w niej nic, coby potrafiło zmusić słuchaczy do śmiechu. Właściwie wciąż czekaliśmy, kiedyż nareszcie „coś" się stanie i nas rozrusza. A tymczasem — nic się nie działo i rozczarowani uziemialiśmy anteny. Może być, iż jest to naszą winą, bo poprostu może jeszcze nie rozsmakowaliśmy się w humorze tego typu. Wątpię jednak, czy do takiego rozsmakowania mielibyśmy potrzebną cierpliwość i wytrwałość. „Sezon w Kobyłozdrójkach" stał zanadto pod znakiem wody i rozwlekłości.

IRENA NAŁĘCZ

„Fason - 1910"

Jak spędzały wakacje nasze matki i babki przed dwudziestu pięciu laty, przypomni nam W. Budzyński w „Wesołej Fali" pt.: „Wilegjatura — fason 1910", którą usłyszymy dziś w niedzielę o godz. 21.30. Do występu w tej Fali rewjowej udało się W. Budzyńskiemu pozyskać organizatorkę jednego z pierwszych lwowskich kabaretów Andę Kitschman. Tekst Fali pióra W. Budzyńskiego, muzyka Andy Kitschman.

—:—



Mgr. W. Budzyński i Anda Kitschman, współautorzy „Wesołej Fali" „Fason 1910".

Najciekawsze audycje niedzielne

„Uriws" — Juljusza Katerwy w Radjo. „Urwis" jest jedną z najlepszych komedji Szczepana Jeleńskiego, pisującego pod pseudonimem Juljusza Katerwy. W utworze tym święcił swego czasu wielkie triumfy Osterwa i cały zespół Reduty. Fragment słuchowiskowy, wyjęty z „Urwisa" nada Rozgłośnia poznańska dziś, w niedzielę około g. 13.00.

Transmisja z kolonji w Malkini. W cyklu transmisyj z obozów i kolonij letnich nada Polskie Radjo dziś, w niedzielę o godzinie 18.00 transmisję z kolonij Rady Szkolnej m. Warszawy w Malkini. Tym razem znajdziemy się w środowisku dzieci ze szkół powszechnych Warszawy. Transmisja zapowiada się interesująco. Przeprowadzi ją tak dobrze wszystkim radjosłuchaczom znany Stary Doktor.

Mecz Polska — Jugosławja przez Radjo. W niedzielę, dnia 18. b. m., o godz. 21.00 Polskie Radjo nadaje fragment międzypaństwowego meczu piłkarskiego Polska — Jugosławja w Katowicach. Fragment ten nagrany będzie na aparaturze Still, wobec czego sportowcy, którzy uczestniczyli w innych zawodach sportowych, będą mogli wysłuchać przez radio końcowych momentów z tego meczu.